Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII | Warszawa, 21 października 1951 r. | Nr 42 (308)

Witold OSTROWSKI

G. K. CHESTERTON i ks. BROWN

OMAWIANIE ostatnio wydanej przez „Pax" książki G. K. Chestertona *), nie jest rzeczą prostą, gdyż aby umożliwić zrozumienie i właściwą ocenę utworów tego egzotycznego w Polsce pisarza, trzeba zacząć od zbliżenia go do nas jako człowieka. A był to człowiek, z którego nie tylko fizycznie, ale i duchowo dałoby się wykroić ze trzech pełnych ludzi. Zacznijmy więc poznawanie Chestertona: od człowieka — poprzez pisarza — do dzieła.



G. K. Chesterton

GLOBALNA SYLWETKA

Trudno zaprzeczyć, że na większości fotografii Gilbert Keith Chesterton (1874 — 1936) ma minę „jakby sto wsi spalił". A przecież był to najłagodniejszy z dziennikarzy (a to znaczy więcej niż najłagodniejszy z ludzi). Jego najwięksi przeciwnicy ideowi, jak G. B. Shaw i H. G. Wells, byli jego przyjaciółmi. Chesterton umiał dać sobie radę z filozofią Św. Tomasza z Akwinu i filozofią Shawa, z poezją Browninga i z ekonomią Cobbetta, z geniuszem Dickensa i mistyką Blake'a, ale nigdy nie potrafił dać sobie rady ze sznurowadłami i krawatami. Przeniknął wiele tajemnic niebą i ziemi jeszcze jako młodzieniec, ale dopiero w późnych latach dowiedział się od żony, że piżamy kupuje się w sklepie. Miał zwaliste ciało i humor Falstaffa (i cień jego uwielbienia dla wina), głos niespodziewanie cienki a duszę dziecka.

80 TOMÓW SŁAWY

Tę samą niezwykłość zestawień i oszałamiającą wprost rozmaitość można stwierdzić w jego twórczości, liczącej 80 tomów. Pisał wiersze, powieści, nowele, essay'e na wszelkie możliwe tematy, biografie, rozprawy teologiczne, apologetyczne, historyczne i społeczne, a nawet sztuki teatralne.

Nie były to rzeczy małej wagi. Jego „Ballada o Białym Koniu" (1911) wraz z poematami J. Masefielda „Wiekuiste Miłosierdzie" („Everlasting Mercy", 1911) stanowi wielką próbę stworzenia angielskiej poezji epickiej w XX w. Jego wiersz „Lepanto" powtarzali angielscy żołnierze w okopach w czasie pierwszej wojny światowej. Fantastyczna powieść „Napoleon z Notting Hill" była przepowiednią podziału Londynu na dzielnicowe miasta (borroughs), druga, pt. „Człowiek, który był Czwartkiem" zyskała sławę światową. „Św. Tomasza z Akwinu" po dziwiał sam E. Gilson, autorytet w tomizmie. Chestertonowskie oceny literackie i psychologiczne Shawa, Browninga, Dickensa, literatury wiktoriańskiej, nie zestarzały się, mimo, że czterdzieści lat upłynęło od ich napisania. Shaw, zachwycony komedią Chestertona pt. „Magia", namawiał go do pisania na scenę i proponował współpracę.

Nowele wreszcie, których bohaterem jest ksiądz-detektyw, a których wybór ukazał się ostatnio w wydaniu Instytutu Wydawniczego „Pax" p. t. „Przygody księdza Browna", przyczyniły się do obwołania ich autora prezesem Detection Club — klubu pisarzy detektywnych, grupującego takich specjalistów, jak Anthony Berkeley, Edmund Bentley, Agatha Christie, ks. Ronald Knox i Dorothy Sayers.

Ta wielostronność, połączona z błyskotliwością języka, z dowcipem i humorem przy traktowaniu rzeczy świętych i wzniosłych, męczy i nuży niektórych czytelników, zwłaszcza nieprzyzwyczajonych do gimnastyki umysłowej, i nieraz wywoływała zarzut irracjonalizmu. W Polsce nazwał go ktoś „apostołem nierozsądku". Zdawałoby się, słusznie, bo Chesterton „ma na sumieniu" „Obronę nonsensu" (1909). Ale ma także „Zarys zdrowego rozsądku" (1926) i te słowa ks. Browna: „Napadałeś na rozum. A to jest zła teologia"...

TREŚĆ I FORMA

Nie ma tu sprzeczności. Treść wewnętrzna twórczości Chestertona jest zawsze racjonalna, zawsze poważna i zdumiewająco jednolita, gdy się weźmie pod uwagę to, że był ateistą, arianinem, spirytystą, liberałem i fabianistą, zanim w katolicyzmie znalazł pełnię tego, czego szukał i zanim wytworzył sobie własny program polityczno-społeczny — dystrybucjonizm. Forma natomiast twórczości Chestertona jest wariacka, fantastyczna, czasem groteskowa, jak u Rabelais'go. Chesterton myśli zawsze rozsądnie, ale wyraża się za pomocą nieobliczalnych słów i obrazów, przy akompaniamencie takich min i gestów, że często zupełnie zbija z pantałyku ludzi o słabszym poczuciu humoru albo oryginalnością obrazu przesłania jego treść dla innych.

Oto typowe oświadczenie Chestertona: „Jest zaprzeczeniem własności, żeby książę Sutherland miał wszystkie gospodarstwa w jednym majątku; tak samo jak byłoby zaprzeczeniem małżeństwa, gdyby miał żony nas wszystkich w jednym haremie. Własność jest umiejętnością tylko demokracji". Idiotyzm wizji, w której książę Sutherland zamyka w haremie żony milionów Brytyjczyków podkreśla i uwydatnia inny idiotyzm, który wskutek przyzwyczajenia nie razi — idiotyzm monopolistycznego korzystania z ziemi przez jednostkę. Treść wypowiedzi jest poważna, forma humorystyczna. Tej samej metody używał Bernard Shaw.

POCHODZENIE I PUBLICZNOŚĆ

Nie było to zjawisko przypadkowe. Było związane z pochodzeniem, środowiskiem i strukturą psychofizyczną obu. Jeśli chodzi o Chestertona, należał on do zdrowego jeszcze odłamu klasy mieszczańskiej, żyjącego resztkami najlepszych tradycyj demokratycznego liberalizmu a ograniczanego coraz bardziej przez monopolistyczny kapitalizm — barbarzyńskich dorobkiewiczów i międzynarodowe rekiny. To zrobiło z niego tradycjonalistę, wroga kapitalizmu, imperializmu, rasizmu, faszyzmu, agnostycyzmu i dekadentyzmu. Z przeszłości wybrał to, co uważał za dobre — walkę o wolność i demokrację, rodzinę, ojczyznę, naukę Chrystusa — i propagował. A jako propagator tradycji musiał przedstawić stary dorobek społeczny ludzkości w niezwykłym świetle, w sposób nieoczekiwany i świeży, aby zmusić do nowego przemyślenia rzeczy znanych, lecz za mało znanych.

Prócz tego, publiczność Chestertona i Shawa składała się z wielu zakalcowatych filistrów i zblazowanych dekadentów. Trzeba było ich mocno poruszyć, zadziwić, zabawić lub zgorszyć a przez to — jeśli nie przekonać, to wytrącić ze stagnacji.

Poza tymi przyczynami na niezwykłą formę twórczości Chestertona wpłynął przede wszystkim fakt, że był poetą. Miał zdolność, właściwą dzieciom i mistykom, intensywnego przeżywania rzeczy codziennych i pospolitych jakby je po raz pierwszy w życiu spotkał. Wiersze jego świadczą, że miał także nie-

(Dokończenie na str. 2)

*) G. K. Chesterton: Przygody ks. Browna (zbiór nowel). Pax 1951

Nieznane wiersze G. K. Chestertona

UKRZYŻOWANY

Na nagim wzgórzu marnej prowincji
Stał żołnierz rzymski wpatrzony w szubienicę.
Potem rzekł: „Zaiste był to sprawiedliwy człowiek!"
I nowy się rozdział historii otworzył
ze słowami tymi jako motto.

ŁASKA PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSTUSA

Żyję w wieku rozmaitych potęg i wiedzy,
Pary, nauki, demokracji, dziennikarstwa, sztuki,
Lecz kiedy miłość ma wzbiera jak morze
Muszę nawracać do ciemnego plemienia i zabitego człowieka
Aby sformułować błogosławieństwo.

CIEŚLA

„Rozmyślania Marka Aureliusza".
Tak, to był monolog a nie tworzenie czegoś.
A czyż słowa Jezusa nie dźwięczą,
Jak gwoździe wbijane w deskę
W ojcowskim warsztacie?

GŁOSY

Topór spada na drewno z łomotem: „Bóg! Bóg!"
A krzyk gawrona „Bóg!" mu odpowiada,
Trzask ognia w kominie, odgłos strumienia powtarza to imię;
Wszystko: pies, kot, skrzypki i dziecko,
Wiatr, morskie bałwany i grzmot
Mówią językiem tysiącem: „Bóg!"

MODLITWA CZŁOWIEKA CHODZĄCEGO

Dziękuję Ci, o Panie, za kamienną ulicę,
Dziękuję Ci za tamte wozy z sianem i za domy zbudowane i budowane,
Obok których przebiegam wielkim krokiem.
Ale najbardzie za wielki wiatr w moich nozdrzach
Jak gdyby Twoje własne były blisko.

MODLITWA CZŁOWIEKA SPOCZYWAJĄCEGO

Półmrok otacza mnie,
Głowa ma schylona wobec Wszechświata.
Dziękuję Ci, o Panie, za dziecko widziane siedem lat temu,
Którego nigdy nie widziałem odtąd.

przełożył W. OSTROWSKI

W młodzieńczym notatniku G. K. Chestertona znajdują się utwory naśladujące swobodną formę wolnego wiersza Walta Whitmana. Wiersze te, drukowane w 1944 w monografii o Chestertonie pióra Maisie Ward, świadczą jak „naturaliter christiana" była dusza poety, gdy nie znał zupełnie ani katolicyzmu, ani katolików, a próbował arianizmu i spirytyzmu.

G. K. CHESTERTON i ks. BROWN

(*Dokończenie ze str. 1*)

zwykłą zdolność odtwarzania oryginalności i świeżości bytu. W nich osiąga Chesterton największą harmonię, największy umiar, największą wartość. I chociaż nie zawsze da się to powiedzieć o całej jego twórczości, jest ona taka, jaka jest, dzięki temu właśnie spojrzeniu poety.

Poetyckie przeżycie świata — to jedna cecha Chestertona. Druga — to miłość towarzystwa ludzkiego, pasja do rozmowy, dyskusji, wspólnego śpiewu i zabawy. Ona sprawiła, że Chesterton był publicystą od urodzenia. Już jako mały chłopiec powiedział na wieść o narodzinach brata: „No, teraz będę miał zawsze swoją publiczność!". Cała jego twórczość, to w pewnym sensie publicystyka z dodatkiem poezji. Połączenie poezji i publicystyki uczyniło Chestertona pisarzem oryginalnym i poczytnym. Więcej, dało jego twórczości cechy dziś aktualne — związanie literatury ze służbą wyższej idei.

KATOLIK — POLITYK

Tą wyższą ideą było dla autora „Ortodoksji" i „Jedynej Rzeczy" („The Thing") życie dla Boga. Poznanie Go doprowadziło Gilberta do przyjęcia katolicyzmu i wejścia do Kościoła (w 1922 r.). Chesterton był prawdziwym katolikiem, więc idea życia dla Boga była dla niego ideą życia dla ludzi. Katolicyzm, najpierw nieuświadomiony a później świadomy, rozszerzył jego poglądy społeczne, uwarunkowane sytuacją klasy, do której należał, na dał im charakter walki o wolność i dobrobyt dla wszystkich uciśnionych i biednych. Założona w 1926 r. Liga Dystrybucjonistów propagowała wolność indywidualną, rządy ludowe, państwo chłopskie, popieranie małego handlu i przemysłu, uwolnienie Anglii od kolonii.

W programie tym widać wyraźnie tradycję katolickiego ruchu chłopskiego Irlandii, stworzonego przez O'Connella W warunkach angielskich i w naszych czasach taki program był utopią. Toteż wartość programu społecznego Chestertona, Belloca i ks. Mac Nabba polega dziś nie na jego pozytywnych, lecz raczej na negatywnych wskazaniach. Na zwalczaniu ucisku i wyzysku człowieka przez człowieka, na potępieniu ustroju, który do tego dopuszcza. Pozytywna cecha dystrybucjonizmu, która będzie zawsze aktualna, to dynamizm miłości, który rodzi zrozumienie potrzeby stworzenia katolickiego modelu życia społecznego odpowiadającego potrzebom epoki.

DRUGIE SERCE SERC

Ta serdeczna i ciepła miłość, którą Chesterton promieniował, obejmowała wszystko, co pospolite, słabe lub wzgardzone. Jak nasz Prus, kochał dzieci, czyścicieli butów, dorożkarzy, szoferów i fryzjerów. Lud angielski mówił o nim „nasz Chesterton". Nic dziwnego, że papież, darzący go królewskim tytułem „obrońcy wiary" w telegramie kondolencyjnym wyraził współczucie z powodu jego śmierci całemu narodowi angielskiemu.

Jako Polacy nie powinniśmy zapominać, że miłość Chestertona rozciągała się na Polskę. Fakt, że Polska po pierwszej Wojnie Światowej miała jednolicie złą prasę u zwalczających się wzajemnie polityków zachodnich, wzbudził w nim podejrzenie, że możemy być narodem skrzywdzonym. Wobec tego zadał sobie trud poznania naszej historii a poznawszy nas, stał się przyjacielem. Wiersze o Polsce i artykuły w obronie naszego Pomorza są tego świadectwem.

Chesterton był postacią jednolitą i konsekwentną, choć bardzo bogatą w aspekty. Czy pisał jako apologeta, czy jako kawalarz, był zawsze całym sobą. I dlatego, gdy weźmiemy w rękę jego „lżejsze", rozrywkowe utwory, jak „Przygody księdza Browna", znajdziemy w nich wszystkie cechy jego innych książek, tworzące organiczną całość. Jest tu publicystyka katolicka i katolicki demokratyzm, poetycka nastrojowość i fantastyka, potępienie zła i humorystyczne igraszki. I jest, mimo pewnej groteskowej i fantastycznej stylizacji — barwnych peruk i woskowych nosów, dziwnej kolorystyki nieb i stałego zaniedbywania przez ks. Browna parafii (wytknął mu to żartobliwie Ronald Knox, ksiądz i powieściopisarz kryminalny) — nie rozerwalny związek z rzeczywistością.

DWÓCH KSIĘŻY BROWNÓW

Ksiądz Brown istniał naprawdę. Był bliskim sąsiadem i serdecznym przyjacielem państwa Chestertonów w miasteczku Beaconsfield. Chodził z dużym parasolem, zawsze obładowany paczkami w brązowym papierze i wprawiał wielkiego pisarza w podziw umiejętnością obserwacji i wyciągania wniosków na podstawie drobiazgów. On to przyjął Chestertona do Kościoła (w szopie wynajmowanej dla odprawienia Mszy) a później jego żonę. On też napisał książkę p. t. „Ks. Brown o Chestertonie". Nazywał się ks. John O'Connor.

Zaraz przy drugim spotkaniu z nim (w 1904 r.) Chesterton został wstrząśnięty głęboką znajomością deprawacji ludzkiej, której nabył ks. O'Connor przez duszpasterstwo. Chesterton niedawno jeszcze słyszał kpiny dwóch studentów z Cambridge z naiwności prowincjonalnego księżula a sam nawet nie podejrzewał istnienia występnej przemyślności, którą mu kapłan odsłonił. Wtedy to, w jednej chwili, powstał w głowie pisarza ks. Brown jako postać literacka.

Pierwszą nowelką, w której wystąpił, był „Niebieski krzyż". Po niej nastąpiły inne, dodając do wielu tytułów do sławy Chestertona jeszcze jeden, tytuł nowelisty kryminalnego. Ks. Brown zdobył sobie popularność Sherlocka Holmesa, Lecoqa, Herculesa Poirot i Peter Wimsey'a, był rysowany, filmowany i radiofonizowany.

Kanon przygód ks. Browna obejmuje pięć tomów nowelek, z których pierwszy ukazał się w r. 1911 a ostatni w 1935, na rok przed śmiercią autora. Chesterton był wierny stworzonemu przez siebie ks. Brownowi, tak jak był wierny temu, którego stworzył Pan Bóg. Do wierności tej przynaglali go wprawdzie wydawcy, domagając się — jak mówił — „świeżej serii trupów", ale i bez nich Chesterton miał zawsze słabość do „kryminałów". Świadczy o tym wielka uwertura do cyklu ks. Browna — „Człowiek, który był Czwartkiem" (1908) i szkic „Obrona romansu brukowego" w zbiorze „Obrona nonsensu" (1909).

OD DANIELA PROROKA DO GRAHAMA GREENE'A

Słabość do beletrystyki sensacyjno-kryminalnej była u niego jednak twórcza. Chesterton, wraz z Dickensem, Conradem i Dostojewskim, należy do tych pisarzy, którzy wyzyskali ją dla wypowiedzenia wielkich idei. Literaturze, która przez ucieczkę od rzeczywistości miała być lekarstwem u bogatych na nudę, u biednych na brak szansy życiowej — próbowali nadać wielką treść. Przez nich literatura europejska nawiązała do prastarego problemu wykrycia i ukarania zbrodni — tematu, który sięga historii Zuzanny w Księdze Daniela i który jest osią „Hamleta".

Prócz tego, w nowelkach o ks. Brownie Chesterton zapoczątkował użycie beletrystyki kryminalnej dla propagandy katolicyzmu. Bernanos i Greene poszli za nim. To, że ks. Brown jest detektywem, nie jest przypadkiem. Odkrywcą zbrodni czyni go właśnie to, że jest świątobliwym kapłanem katolickim. Jego rozum, oświecony nauką Kościoła, zwycięża zbrodnię a jego wielkie serce zwycięża zbrodniarzy. Pomagają mu w tym niepozorność, znajomość ludzi wszystkich stanów i klas i świadomość ogromu własnej zdolności do grzechu.

TŁO „PRZYGÓD"

Wydane przez „Pax" „Przygody księdza Browna" przez odpowiedni dobór nowelek z różnych zbiorów słusznie podkreśliły te cechy detektywa w sutannie. Słusznie także podkreśliły demokratyczne, antykapitalistyczne i antyburżuazyjne akcenty filozofii Chestertona. Nie można zapomniąć, że ukazaniu się „Naiwności ks. Browna" (1911) towarzyszył t. zw. proces Marconiego, sprowokowany przez braci Chestertonów dla wykazania wpływu finansjery na rząd brytyjski; że zaraz po wydaniu „Mądrości ks. Browna" (1914) Chesterton napisał „Barbarzyństwo Berlina" i „Zbrodnie Anglii"; że rok 1926 — to nie tylko rok „Niedowiarstwa ks. Browna", ale i rok „Zarysu zdrowego rozsądku" — programu dystrybucjonizmu — upowszechnienia własności przez likwidację karteli.

Chociaż „Przygody księdza Browna", jak ballady na cześć wina, powstały w chwilach rozrywki i odprężenia, treść ich jest odbiciem rzeczywistości, w której Chesterton żył i nawoływał do przywrócenia wielkości i godności rzeczom codziennym i pospolitym i prostym ludziom przez danie im prawdy i wyzwolenie z niewoli duchowej i ekonomicznej.

POGODNE ZAKOŃCZENIE

Pogoda i humor tych nowelek czynią z nich lekturę lekką i równoważą okropność zbrodni. Optymizm ten wyróżnia Chestertona z pomiędzy katolickich pisarzy, posługujących się formą beletrystyki kryminalnej. Nie można tego traktować ani jako jego zasługi, ani jako ich wady, ale jest to, bez wątpienia, dodatkowa atrakcja.

Wydanie „Paxu" jest staranne, tekst tłumaczenia poprawiony. Na pochwałę zasługuje zwłaszcza zmiana „ojca Browna" z przedwojennych wydań na „księdza Browna". Przydałoby się, może, w niektórych miejscach rozszerzyć objaśnienia. Podkreślenie np., że w Anglii księża nie noszą sutanny poza kościołem jest potrzebne dla zrozumienia dlaczego ks. Brown został wzięty za szatniarza. Stała gra wieloznacznym słowem **moonshine** w opowieści ostatniej uchodzi świadomości polskiego czytelnika, który nie wie, że znaczy to nie tylko „blask księżyca", ale również „bzdury" a nawet „przemycana wódka". Ale to są drobiazgi.

„Przygody księdza Browna" powinny stać się wypisami zaprawiającymi polskich czytelników do lektury jego innych książek. Wtedy może uniknie się nieporozumień, jakie np. wynikły wśród czytelników po publikacji „Żywego człowieka" w „Słowie Powszechnym".

Witold Ostrowski

TU FU

Wymarsz

Ling-ling-ling dzwonią wozy, sjao-sjao rżą konie,
Żołnierze maszerują z łukiem i strzałami.
Starzy ojcowie, matki, dzieci, żony
Biegają z płaczem, z krzykiem, między szeregami.
Kurz jest tak gęsty, że w marszowym szyku
Doszli do mostu nie widząc go w pyle;
Dzieci chwytają żołnierzy wśród krzyku.
Zda się, chcą ich zatrzymać, by zostali w tyle.

Płacz kobiet, jęki, skargi, narzekania,
Wznoszą się chyba do samych obłoków
Co chwila jakiś przechodzień przystanie
I pyta wojowników, po co idą, dokąd?
Żołnierze na to: jedno tylko wiemy —
Kazali maszerować, to maszerujemy.

Są wśród nich ludzie, którzy piętnaście lat mieli,
Gdy szli na front północny walczyć za cesarza.
Dziś, gdy ich lat czterdzieści od tej chwili dzieli,
U zachodniej granicy wojna się nadarza.
Gdy ruszali, wójtowie ich rodzinnych wiosek
Powrócili do domów z bielejącym włosem,
Blade skronie im w czarne przybrali woalki,
Po to tylko, by znowu wyruszyć do walki.

Nienasycona jest żądza cesarza —
Chce wciąż powiększać swe ogromne mienie,
Nie słyszy jęków matki, skarg ojca — nędzarza,
Nie widzi, jak tarnina na polach się pleni.

Czy życie nasze tyle tylko znaczy —
Pyta starzec — co życie psa, albo jelenia?
A żołnierz, wściekły, nie powie inaczej,
Jak tylko, że i w ziemi nie zazna wytchnienia.

Zimą, znowu poborcy przyjdą po daninę
I nie będą pytali skąd owa danina.

Teraz już przestaliśmy radować się synem,
Czy cieszyć się, że rodzi się na świat dziewczyna?
Jak będzie córka, to czekać wypada,
Że się z nią któryś z sąsiadów ożeni.
Syn pójdzie na wojnę, a nie do sąsiada
I jego młode ciało wróci do korzeni.

Książę, czy ty widziałeś na pobrzeżnych skałach
Jak błyszczą nagie kości, których nikt nie chowa?
Czy wiesz, jak dusze niepokoją ciała,
Których nie skryła dotąd darń grobowa?
Niebo jest ciemne w czas jesiennej pluchy,
Zimny wiatr tłucze się po morskich skałach,
Ze świeżych trupów wypełzają duchy
I nękają od dawna nie grzebane ciała.

Tł. Władysław Dulęba

NOTKI KULTURALNE

W Akademii Nauk Lekarskich ZSRR odbył się uroczysty obchód 80-lecia urodzin wybitnego biologa radzieckiego, członka Akademii Nauk Lekarskich — profesora O. Lepieszyńskiej.

*

Na ekranach rumuńskich ukazał się nowy film produkcji rumuńskiej pt. „U nas na wsi" według noweli Petre Dumitrin „Czerwcowe noce" nagrodzonej w 1949 r. nagrodą państwową.

*

W końcu września rb. odbył się w Bukareszcie „Tydzień Muzyki Rumuńskiej" — który przeszedł pod hasłem „Opiewajmy pokój i przyjaźń między narodami".

*

Niemiecka wytwórnia filmowa DEFA kończy obecnie, pod kierownictwem Georga C. Klaren, realizację filmu „Ojciec Goriot" według powieści Balzaca. DEFA podjęła również produkcję 8 filmów pedagogicznych z zakresu sportu.

*

W przedsiębiorstwach przemysłu materiałów budowlanych ZSRR przeprowadza się doświadczenia nad wykonaniem tzw. bloków szklanych. Są to cegły z przezroczystego bezbarwnego szkła wykonane z dwu połówek. Odznaczają się one zdolnością rozpraszania światła, nie przepuszczają dźwięków, ani ciepła.

*

Dwaj duchowni astronomowie w obserwatorium watykańskim O. Roger Lechaire i O. Walter Miller odkryli nową kometę. Nowa kometa należy do dziewiątej gwiezdnej wielkości i znajduje się w pobliżu gwiazdozbioru Wielkiego Wozu.

*

W Kongu Belgijskim mieszka powyżej 4 milionów katolików i ponad 1700 księży.

*

Szwecja jest krajem protestanckim, a liczba katolików do r. 1948 wynosiła 5.400 osób, co stanowiło 0,83 promile ogólu ludności. Nowych kapłanów w tym czasie było zaledwie 28 a zaledwie 6 szwedzkiego pochodzenia. Rocznie jest około 40 nawróceń na wiarę katolicką.

*

Ojciec Sirlinger, członek Lyońskiej misji, przebywający od 30 lat w Nigerii, dokonał bardzo trudnej pracy: napisał pierwszą gramatykę narzecza gemai i przełożył na to narzecze Pismo Św. Również jest on pierwszym białym, który poznał zawiły układ koniugacji narzecza Kagoro, które ma bardzo złożoną składnię i ubogi słownik, i w ten sposób znalazł klucz do jego gramatyki.

*

Ostatnio w Egipcie przyjęło wiarę katolicką 600 osób. Pochodzą oni z miast El. Ghezasra i Geziret El Sharoona (Górny Egipt).

Konwertyci z zebranych między sobą składek budują szkołę i kaplicę.

*

W najbliższym czasie na Alasce odbędzie się ingres pierwszego biskupa — ks. O'Flanagen. Alaska liczy obecnie 132.000 mieszkańców, z czego 19.769 katolików. Prace duszpasterskie sprawuje tam 39 duchownych.

*

Żydowski duchowny, rabin Julius Berger uzyskał niedawno tytuł doktora filozofii na katolickim uniwersytecie w Ottawie (Kanada).

*

Nakładem francuskiego wydawnictwa Pierre Seghers ukazała się „Première Anthologie vivante de la poesie du passe" (pierwsza antlogia żywej poezji przeszłości). Wstęp i objaśnienia opracował znany poeta francuski Pierre Eluard. Antologia ta jest zbiorem poezji francuskiej od jej początków, to znaczy od XII w. (Filip de Taun) kończy się na poezji w. XVII.

Ks. dr Jan CZUJ
Dziekan Wydziału Teologii U. W.

LUDZIE ZŁEGO WCZORAJ

Artykuł Księdza Dziekana dr. Jana Czuja Przewodniczącego Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP ogłoszony w piśmie Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju — „W obronie pokoju" — stanowi cenną i wnikliwą analizę niebezpieczeństw, zagrażających postawie kotolików niemieckich, poddanych propagandzie nacjonalistycznego szowinizmu. Udostępniając treść tej wypowiedzi naszym czytelnikom, pragniemy podkreślić wagę uświadomienia tej problematyki najszerszym kołom katolickiej opinii publicznej w Polsce.

Redakcja

PRZESZŁO półtora roku temu zawarte zostało porozumienie między Rządem R.P. a Episkopem Polski. W tym doniosłym dokumencie z 14 kwietnia 1950 znalazł się punkt o brzmieniu następującym:

„Episkopat w granicach sobie dostępnych będzie się przeciwstawiał wrogiej Polsce działalności a zwłaszcza anty-polskim rewizjonistycznym wystąpieniom części kleru niemieckiego."

Umieszczenie tego punktu w tekście porozumienia było konsekwencją faktu, że duchowieństwo niemieckie, które opuściło w 1945 roku polskie ziemie zachodnie w znacznej swej większości od pierwszej chwili zaangażowało się czynnie w anty-polskie i rewizjonistyczne akcje organizowane na terenie Niemiec zachodnich. Przy tym, niestety, ta wroga pokojowi i Polsce działalność cieszyła się poparciem hierarchii kościelnej w Niemczech.

Tego rodzaju fakty — rzecz oczywista — musiały wywołać zdecydowany sprzeciw nie tylko ze strony polskich czynników politycznych, lecz również ze strony Władzy Kościelnej i duchowieństwa w Polsce. Wspomniany wyżej punkt porozumienia był publicznym potępieniem szowinistycznej działalności części kleru niemieckiego przez Episkopat Polski.

Gdy przed rokiem powstała przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju Komisja Intelektualistów i Działaczy Katolickich, pierwszym jej aktem było również potępienie — w liście otwartym do katolików francuskich — działalności tych wszystkich duchownych i świeckich katolików niemieckich, którzy miast wyciągnąć naukę ze straszliwych doświadczeń wojny hitlerowskiej, miast zrozumieć, że naród niemiecki, którego imperializm tyle nieszczęść ściągnął na świat cały, że naród ten musi się odrodzić, zmienić od podstaw i wkroczyć na nową drogę pokojowej współpracy ze swymi sąsiadami, którzy miast ze wszystkich swych sił — zgodnie ze szczytnym powołaniem kapłanów — pracować nad tym pokojowym odrodzeniem się własnego narodu — przemawiają do nas starym, dobrze nam znanym językiem Bismarcka i Goebelsa. Rok pracy naszej komisji poświęcony był w ogromnej mierze właśnie zagadnieniom niemieckim. Informowaliśmy nasze duchowieństwo o szkodliwej działalności części kleru niemieckiego. Staraliśmy się przeciwstawić tej działalności przez budowanie jedności katolików polskich w walce o pokój, jak również przez uświadomienie naszych braci katolików Włoch, Francji i Belgii o złej i niebezpiecznej drodze części duchowieństwa i działaczy katolickich w Niemczech Zachodnich, staraliśmy się — dostępnymi nam środkami — osłabiać ich zgubne wpływy w Kurii Rzymskiej i wreszcie staraliśmy się nawiązać bezpośredni kontakt z katolikami niemieckimi, by wzmocnić stanowisko tych spośród nich, którzy szczerze walczą o nowe Niemcy, o pokój między narodami, którzy widzą w nas braci a nie wrogów.

Dużo było wydarzeń w ciągu minionego roku i wszystkie potwierdziły w pełni słuszność wybranej przez nas drogi. Dramat Korei wykazał, że współczesna wojna urąga nie tylko moralności chrześcijańskiej, a burzy najprymitywniejszą moralność ludzką.

Wydawało by się, że po doświadczeniach Korei nie może być chrześcijanina, który by śmiał nawoływać do nowej wojny lub przygotowywać ją. Dlatego z takim smutkiem i oburzeniem musimy zareagować na ostatnie wiadomości z Niemiec Zachodnich, z których dowiadujemy się, że na nowo rozszalała tam kampania rewizjonizmu anty-polskiego, w której ogromną rolę odgrywa szowinistyczna część kleru niemieckiego.. Oto parę faktów.

W czasie debaty Bundestagu w Bonn kancelerz Adenauer (przywódca katolików) oświadczył: „celem naszym jest przywrócenie zjednoczonym Niemcom granic z 1937 r." Aby nikomu nie pozostawić wątpliwości co do znaczenia tego oświadczenia, dwaj deputowani sprecyzowali bliżej o jakie granice idzie: „Chodzi tutaj o Pomorze i o Prusy Wschodnie"; „Jeśli się mówi o Wschodzie, to ma się na myśli Czechy i Kłajpedę". Inny działacz katolicki Stein podał do wiadomości, że jeszcze w tym roku zaprowadzona zostanie we wszystkich szkołach Hesji nauka „o utraconych ziemiach niemieckiego Wschodu". Niemieckie miasta przyjmują „patronaty" nad miastami „niemieckiego Wschodu", np. zarząd miasta Solsgitter przyjął „patronat" nad „górnośląskim miastem przemysłowym Kattowitz". Tym rojeniom katolickich działaczy politycznych podaje pomocną dłoń wielu duchownym i niejedna redakcja katolicka. W katolickim „Christ Unterwegs" czytamy między innymi:

„Nie tylko Niemcy zostali wygnani ze Wschodu. Wraz z nimi — wiernymi synami Europy — wygnana została tysiącletnia kultura i cywilizacja. Zachód wtedy dopiero znajdzie zadośćuczynienie krzywdy, jakiej doznał, gdy wysiedleńcy powrócą do swej ojczyzny. Dopóki Niemcy byli na Wschodzie, panował tam pełnoprawny porządek."

W tym samym „Christ Unterwegs" znajdujemy zawiadomienie o otwarciu w połowie października br. w Monachium wystawy pt. „Dziedzictwo duchowe niemieckiego Wschodu", która będzie uzupełnieniem wystawy objazdowej pt. „Niemiecka ojcowizna na Wschodzie". Przygotowaniem wystawy zajmuje się ziomkostwo Ślązaków oraz ks. Wosnitz — b. wikariusz kapitulny z Katowic i ks. Seppolt z Wrocławia.

W organie Kurii Biskupiej w Berlinie „Petrusblatt' czytamy: „Niemcy od setek lat sprawowały straż na Wschodzie Europy i misję tę sprawować będą w dalszym ciągu".

Na terenie całych Niemiec Zachodnich odbywają się ostatnio zjazdy wysiedleńców, na których rolę przywódców bierze na siebie szowinistyczna część kleru.

Przed kilku tygodniami odbył się zjazd katolickich wysiedleńców ze Śląska. W zjeździe tym zorganizowanym w Werl uczestniczył arcybiskup Jögor i jedyny w Niemczech Zachodnich urzędujący biskup wysiedleńczy — Ferches. Biskup Ferches zreasumował wyniki zjazdu, stwierdzając, że Kościół katolicki „oficjalnie uznaje słuszność żądania powrotu wysiedleńców do ich ojczyzny".

Na innym zjeździe przedstawiciel „Caritas" ks. Weinbacher oświadczył między innymi: „Kościół winien z chrześcijańską szczerością przypomnieć o krzyczącej niesprawiedliwości, jaką wyrządzono niemieckim wysiedleńcom".

Na spotkaniu wysiedleńców w Stuttgarcie wystąpił b. generalny wikariusz Kłodzka — ks. Monse. W wygłoszonym kazaniu ks. Monse wywodził co następuje: „Nadeszła chwila wypowiedzenia szatanowi bezkompromisowej walki. Za waszym pośrednictwem — wysiedleńcy — Bóg przemówi do tej części świata, która się znajduje jeszcze w posiadaniu szatana".

Dla ks. Monse i jemu podobnych szatanem jesteśmy my, nasz kraj, nasza praca, którą wzmacniamy pokój światowy. Ksiądz katolicki, niezależnie od tego jakiej jest narodowości, tylko z największym bólem napisać może to, co jest mym smutnym obowiązkiem, a mianowicie, że te niepoczytalne wystąpienia przedstawicieli kleru niemieckiego spotykają się z aprobatą dostojników Kościoła w Niemczech — kardynałów Fringsa i Faulhabera. Obaj kardynałowie niestety często osobiście uczestniczą w anty-polskich zjazdach; w najbliższym czasie z inicjatywy kardynała Faulhabera ma zostać powołany do życia w Monachium „Instytut dla spraw Wschodniej Europy", którego zadaniem będzie zbieranie materiałów „potwierdzających prawa wysiedleńców do terenów zaodrzańskich".

Kampania rewizjonistyczna od lat popierana i podsycana jest przez koła waszyngtońskie. Wiemy o tym. Wiemy, że amerykańscy mężowie stanu, generałowie, profesorowie i najrozmaitsi delegaci przyjeżdżają do Niemiec Zachodnich, by składać oświadczenia obiecujące szowinistom niemieckim połowę naszej Ojczyzny. Wiemy, że odradza się tam militaryzm niemiecki, że swobodnie działają generałowie Hitlera, że znów odzyskali prawo do życia politycznego przestępcy wojenni. Ale co mamy sądzić o tych, którzy pierwsi powinni czuć się naszymi — katolików polskich — braćmi, co mamy sądzić o tych katolików niemieckich, którzy zachęcają swój naród do nowej zbrodni, budzą stare, złe siły, odgrzewają zbrodnicze hasła „Drang nach Osten" — hasła, za które krwią i nieszczęściem płaci zarówno naród polski jak i niemiecki? Czy wolno nam ich czymkolwiek usprawiedliwiać? Nie, nie mamy do tego prawa. Odgradzając się zdecydowanie od tych ludzi złego wczoraj, bronimy nie tylko naszych interesów narodowych, bronimy podstawowych zasad moralności międzyludzkiej, bronimy prawa do lepszej przyszłości dla narodu niemieckiego i dla całego świata. Tylko droga wojny prowadzić może do realizacji mrzonek Adenauera i ks. Monse — tylko droga pokoju jest tą, po której my — a z nami wszyscy ludzie dobrej woli na całym świecie — zdecydowani są kroczyć.

Wiemy dobrze, że poza Niemcami Adenauera i ks. Monse są inne, lepsze i potężniejsze Niemcy. Jest Niemiecka Republika Demokratyczna, są miliony ludzi pracy i młodzieży w Niemczech Zachodnich, walczących o pokój i postęp. NRD uznaje granicę na Odrze i Nysie za granicę pokoju i związała się z Polską mocnymi nićmi przyjaźni. W NRD nie ma zrzeszeń Ślązaków, Gdańszczan czy Prusaków, urządzających anty-polskie hece. A przecież w NRD są wysiedleńcy, ale otrzymali oni wszyscy nowe zagrody, mieszkania i pracę.

Żyją myślą o pokojowej pracy, nie o krwawym marszu no Wschód. W NRD są katolicy. Jest chrześcijańska CDU, która współpracuje z nami i na równi z nami z pogardą odgradza się od tych katolików w Niemczech Zachodnich, którzy zdradzili przykazania swej wiary na rzecz zaślepionego szowinizmu.

Adenauer i ks. Monse walczą o upolitycznienie katolicyzmu. Niemiecka Katolicka Agencja Prasowa KND drukuje wywiad z jednym z czołowych szowinistów, ministrem dla spraw religii w rządzie bawarskim, dr Schwalberem, który stawia takie żądania: „Chrześcijanie muszą czynnie wystąpić przeciwko polityce „Ohne uns", gdyż — jak przeszłość wykazala — zasklepianie się jedynie w religii doprowadziło katolicyzm niemiecki na skraj przepaści".

Hasło „Ohne uns" jest hasłem ruchu obrońców pokoju w Niemczech Zachodnich. „Ohne uns" — „bez nas" odpowiada młodzież zachodnio-niemiecka na remilitaryzacyjne propozycje Amerykanów i Guderiana. Widzimy więc jak wyraźnie polityczny sens ma oświadczenie pana ministra dla spraw religii. Ale o dziwo, w pewnym sensie możemy się zgodzić z twierdzeniem tego rzecznika Adenauera. Gdyż i my uważamy, że dzisiaj samo tylko życie religijne, nawet gdyby ono było najgłębsze, nie może wystarczyć.

Katolicyzm bez głębokiego życia religijnego nie jest katolicyzmem. Ale z życia religijnego właśnie musimy czerpać siły by służyć konkretnym potrzebom naszych czasów. My, katolicy polscy walczący o pokój, uważamy, że dziś obowiązkiem katolików jest branie czynnej i świadomej odpowiedzialności za kształt społeczny rodzącej się w bólach nowej epoki. To głębokie przekonanie i analiza współczesnej rzeczywistości społecznej postawiły nas zdecydowanie w szeregach tych ludzi, którzy wierzą w pokojowe perspektywy rozwoju i postępu ludzkości.

Znamy siłę i wielką przeszłość katolicyzmu niemieckiego. Wierzymy w przyszłość narodu niemieckiego i jego katolicyzm. Wierzymy, że wbrew garstce ludzi złego wczoraj katolicy niemieccy znajdą drogę do naszych szeregów, do ludzi przekonanych, że na drodze pokojowej przezwyciężone zostaną konflikty i sprzeczności dzielące świat współczesny i że wszyscy ludzie dobrej woli wykonać muszą wspólnie najważniejsze zadanie naszego pokolenia: nie dopuszczenie do katastrofy i zbrodni nowej wojny.

Ks. Jan Czuj

NOTATNIK POLITYCZNY

Wybory brytyjskie

Za parę dni, 25 października odbędą się w Wielkiej Brytanii powszechne wybory do parlamentu. Za parę dni prasa codzienna poda nam dokładne wyniki, które przesądzą o tym, czy rząd labourzystowski utrzyma się u władzy czy odda ją w ręce konserwatystów. Znikoma większość 6 głosów grożąca rządowi labourzystowskiemu utraceniem władzy z okazji byle epidemii grypy nie rokowała parlamentowi, wybranemu w lutym 1950 dotrwania do ustawowego terminu — 1956 roku. Z drugiej strony narastające niezadowolenie mas pracujących, ciężar przytłaczającego budżetu zbrojeń, klęski polityki zagranicznej, to wszystko elementy, które przywódców Labour Party skłaniały coraz to wyraźniej do oddania decyzji o dalszych losach władzy w ręce wyborców. Możnaby nawet twierdzić, że w chwili obecnej przejście Labour Party do opozycji byłoby przyjęte w kierowniczych kołach tej partii z ulgą — „Niech teraz męczą się dalej nasi przeciwnicy. Zawsze łatwiej krytykować"!

W rzeczy samej rząd labourzystowski pozostawia po sobie tragiczną spuściznę. Zdobywszy sobie zaufanie większości społeczeństwa, wykorzystał je na to, by pchnąć Wielką Brytanię w obłędną politykę wyścigu zbrojeń, zmarnować powstałe po wojnie możliwości wielkiej reformy społecznej, wreszcie powoli, lecz bez przerwy poddawać suwerenność polityki brytyjskiej pod coraz to bezwzględniejsze dyktando waszyngtońskiego sekretariatu stanu.

Syntetycznie ujmując można przedstawić poglądy angielskiego wyborcy w przededniu głosowania według następujących trzech kateorii:

ŚRODOWISKA PRACOWNICZE: przytłoczone coraz to cięższą sytuacją materialną i zaniepokojone o swe dotychczasowe uprawnienia — pragną pokoju, likwidacji programu zbrojeń, zerwania ze szczątkami polityki imperialistycznej, a przede wszystkim oderwania się od amerykańskiego rydwanu. W tych środowiskach jest jednak dotąd mało w pełni uświadomionych i zdolnych do walki. Wielu ulega pesymistycznemu przeświadczeniu, że już się dziś nie da cofnąć tego co zostało dokonane, chodzi więc tylko o bezwzględne hamowanie dalszego rozwoju militaryzmu. W zależności od przekonań — będą głosować na listy komunistyczne lub lewicę labourzystowską.

ŚRODOWISKA DROBNOMIESZCZAŃSKIE: tu głosy będą niewątpliwie rozbite. Dotąd środowiska te popierały labourzystów, gdyż spodziewały się w nich znaleźć obrońców przeciw rosnącej przewadze wielkiego kapitału. Drobny rzemieślnik, drobny kupiec, o typowym dzielnicowym lub regionalnym zasięgu czuje się stale zagrożony przez wielkie anonimowe spółki akcyjne, towarzystwa handlowe i usługowe. On to stanowił poważną część klienteli tego stronnictwa.

Druga jednak część, zatrwożona wzrastającymi trudnościami gospodarczymi, coraz to mocniejszą śrubą podatkową, zaczyna tęsknić do „dobrych dawnych czasów" i ogląda się raczej za zwycięstwem konserwatystów.

KAPITAŁ, ZIEMIAŃSTWO i BOGATSZE CHŁOPSTWO — dąży zdecydowanie do zwycięstwa konserwatystów, licząc na odbudowę zniszczonego imperium, na zyski kolonialne, zbrojeniowe, licząc wreszcie na tradycyjną karierę w wojsku, dyplomacji, administracji kolonialnej — stawia na Churchilla i jego proamerykańską politykę.

Obraz byłby niepełny, gdyby nie zarysować najbliższych perspektyw. Zwycięstwo wyborcze labourzystów — oznacza w dalszym ciągu politykę pełną wahań i sprzeczności, bez odwagi jednak zerwania ze zgubnym sojuszem atlantyckim. Przeszedłszy do opozycji — Labour Party będzie chciała, wyciągając wnioski z doświadczeń, przeredagować swój program. Sekretarz stronnictwa Morgan Philips przyznał się szczerze — „Najbardziej ze wszystkiego potrzebujemy dziś własnej filozofii". Dodajmy, że utylitaryzm fabiański, któremu hołduje Attlee przestał już dawno być uważany za jakąkolwiek „filozofię".

Zwycięstwo konserwatystów pogorszy niewątpliwie sytuację angielskiej klasy robotniczej. Niemniej ważne jest, szczególnie dla nas to, że konserwatyści hołdują wyraźnie polityce popierania rewindykacji zachodnio-niemieckich i Adenauer znajdzie w Churchillu wiernego sprzymierzeńca.

Jeden z korespondentów labourzystowskiego pisma stwierdza w liście do redakcji: „zbudowano narzędzie, mające służyć klasie robotniczej. Klasa robotnicza coraz to lepiej sobie jednak zdaje sprawę z tego, że tym narzędziem musi władać osobiście, a nie za pośrednictwem politycznych „speców", choćby nimi byli nawet labourzyści". Ten właśnie stały proces wzrostu świadomości angielskich mas pracujących czyni, że jakiekolwiek będą wyniki wyborów walka o postęp społeczny i o pokojową politykę będzie tam wzmagać się z roku na rok aż do ostatecznego zwycięstwa.

Jerzy Andrzej GÓRSKI

PO CO NAM BÓG?

PO DŁUGIEJ, blisko rocznej, przerwie ukazał się kolejny zeszyt francuskiego wydawnictwa katolickiego „Jeunesse de l'Eglise". Te niepozornie wyglądające tomiki, ukazujące się dzięki wysiłkowi grupy ludzi borykających się z przeróżnymi trudnościami, od politycznych po materialne, jakie stwarza aktualna sytuacja zmarszalizowanej Francji, urastają do rozmiarów wydarzenia nie tylko w kołach katolików francuskich. Poruszając najbardziej palące zagadnienia współczesności z katolickiego punktu widzenia, nie cofając się przed wyczerpującym, odważnym rozważaniem bolesnych nieraz, chętnie spychanych w cień problemów, „Jeunesse de l'Eglise" zdobyła sobie zasłużenie czołową pozycję wśród katolickich wydawnictw społecznych. Zapewne, katolikom polskim niejedno sformułowanie wyda się mocno spóźnione, niejedna myśl nie doprowadzona do końca i błędna, pamiętać musimy jednak o trudnościach piętrzących się przed ludźmi żyjącymi w systemie kapitalistycznym, przed katolikami, którzy pokonywać muszą nie tylko wrogą sobie opinię obozu, chętnie występującego pod złudnym sztandarem chrześcijańskich wartości, lecz także przejść konsekwentnie drogę własnej ewolucji, wyzwolenia się spod narastającej przez dziesiątki lat, przez pokolenia, mentalności określanej lapidarnie jako „mieszczański katolicyzm".

Ostatni zeszyt „Jeunesse de l'Englise" podejmuje temat wyjątkowo trudny i w pojęciu wielu katolików niezwykle drażliwy. Atakuje wprost zagadnienie współczesnego ateizmu, jego przyczyn i naszej postawy wobec znamionujących go zjawisk. „Dieu pourquoi faire", — Po co nam Bóg — brzmi tytuł tych rozważań. Wokół nas, katolików, czy określając ogólniej, ludzi wierzących, żyją ludzie dla których problem istnienia Boga przestał być istotny, został w ich pojęciu definitywnie rozstrzygnięty. Tu nie chodzi o sceptyków, antyklerykałów czy niezdecydowanych lecz o ateistów, o niewierzących w pełni znaczenia tego terminu.

ODGŁOSY DIALOGU

W dyskusjach, jakie przy różnych okazjach, najczęściej współpracy zawodowej czy wspólnie przeprowadzanych akcji społecznych, wywiązują się między katolikami a niewierzącym, uzasadnia on swoje stanowisko w następujący sposób: „Ludzie dają sobie doskonale radę sami. Bóg jest im niepotrzebny". To już nie zarzut, jakie słyszało się często dawniej i słyszy teraz jeszcze niekiedy, gdy niewierzący chce atakować z pozycji katolickich i mówi: „Skoro Bóg jest tak dobry i potężny, dlaczego dopuszcza na świecie tyle nieszczęść. Jeżeli jest Wszechmocny, dlaczego nie stanowi sprawiedliwości na ziemi". Bo też i stosunek wierzących do Boga był przez stulecie stosunkiem, jak określa to angielski filozof James, do kogoś, kto jest potężny, i kim można się posłużyć. Na dnie wszystkich dowodów istnienie Boga kryło się całkiem utylitarne przekonanie: Wierzcie w Boga, bowiem ze wszystkich środków, które macie do swej dyspozycji, On jest najpotężniejszy. Dla wyjaśnienia istnienia świata, dla utrzymania człowieka na właściwej drodze, dla zapewnienia pokoju, dla uniknięcia czy odparowania spadających ciosów, nikt lepiej nie usłuży jak Bóg. W epoce postępu wiedzy i techniki uważa się, że Bóg jest nieużyteczny. Po co zatem obarczać się niepotrzebnym zagadnieniem. Po co trzeć krzemień, skoro ma się zapalniczkę.

Katolikowi, który bez Boga nie potrafi wytłumaczyć sobie świata, który w Nim widzi swe oparcie, pomoc i nadzieję, niewierzący odpowiada: Dawniej zjawiska atmosferyczne, wyzdrowienia czy kiełkowanie roślin przypisywaliście interwencji Bożej, później gdy znaleziono przyrodnicze wyjaśnienie tych faktów przerzuciliście się w dziedzinę filozofii. Powiedzieliście, że Bóg jest przyczyną sprawczą, działającą poprzez przyczyny naturalne. Powiedzieliście, że Bóg jest wyjaśnieniem ostatecznym, najwyższym, które nie zwalnia człowieka od szukania i poznawania praw rządzących światem, bezpośrednio dostępnych jego poznaniu. Dopóki ludzkość była więźniem waszych abstrakcji nauka stała w miejscu, od czasu do czasu tylko powstawało dzieło sztuki dostępne jedynie dla wybranych. Masy pozostawały w ciemnocie, poddaństwie i nędzy. Okres, w którym wystąpił i utwierdził się ateizm, stał się dopiero początkiem stale odtąd postępującego naprzód rozwoju postępu i wiedzy. I dzięki temu poprawiają się od tego czasu warunki życia mas. Pojęcie Boga, jeśli nawet jest prawdziwe, jest bezużyteczne. Wierzący tracą czas na wykazywanie, że u początków wszystkiego stoi Bóg. A jednocześnie pojęcie Boga przesłania im człowieka. Bóg to ucieczka, tchórzostwo, egoizm. Dopiero wtedy wie się, że nie ma cudów, pomocy Bożej, opatrznościowych ludzi, wyjaśnień a priori, kiedy człowiek uświadamia sobie, że jest sam—nabiera się energii, przezwycięża wewnętrzny zamęt i można przystąpić do twórczej pracy.

Wówczas wierzący protestuje: jeśli kiedykolwiek, co przecież zdarzało się, źle pojęta i praktykowana religia stawała się przyczyną obskurantyzmu i niesprawiedliwości społecznej, potępiamy to pierwsi jako zdradę naszych zasad. Człowiek nie jest jednak tylko istotą, która wytwarza dobra i je spożywa, ma też swoją naturę moralną i duchową, która musi być zaopatrywana i podtrzymywana. W społeczeństwie obok organizacji politycznej i stosunków gospodarczych ważne są na równi, dla jego harmonii, wartości duchowe i moralne. I o nich myślimy mówiąc o potrzebie Boga.

Ateista odpowiada natychmiast dając konkretne przykłady: postępowanie przemysłowców katolików, Hiszpanię, Argentynę i Chile, wyniki różnych badań społecznych, wskazujące, że poziom moralny codziennego życia katolików nie jest wyższy od ich niewierzących współobywateli. Wiem — stwierdza niewierzący, że potępiacie wszystkie te gwałty, bezprawia i przejawy egoizmu, że potępiacie je w imię Ewangelii, po co jednak mówić o społecznej i moralnej przydatności religii, skoro fakty świadczą o czymś wręcz przeciwnym.

Katolik myśli przez chwilę i odparowuje usłyszane argumenty. Bóg przecież nie ponosi winy za to, że ludzie nie słuchają Go, że w imię Ewangelii występują osobnicy nie stosujący się do jej nakazów. Trzeba patrzeć na pełnych, prawdziwych katolików. I tu padają nazwiska świętych Kościoła, wybitnych działaczy. Niewierzący określa ich jako wyjątki. Zresztą i ateiści też mają swych bohaterów a nierzadko i męczenników, walczących o sprawiedliwość, postęp i braterstwo. Czy ów robotnik Lacazette, który w przeddzień egzekucji pisał: „nie było nigdy pod niebem człowieka bardziej wolnego, jak spętany i samotny na dnie więzienia komunista, przeżywający śmierć w każdej minucie swego istnienia" — czuł inaczej niż jego towarzysz walki z okupantem — katolik? Jeśli zatem bez Boga można osiągnąć to, co inni uważają, że zdobyć można tylko z Nim, trudno uważać wiarę za rzecz konieczną.

Tyle nasz mówca niewierzący. Ateistyczni filozofowie idą dalej twierdząc, że Bóg, który jest tylko niepotrzebną hipotezą, staje się dla człowieka pojęciem szkodliwym, gdyż wierząc człowiek kapituluje przed fałszywą ideą, rezygnując dla niej z działalności. Niecodziennie jednak zdarza się okazja dysputy z filozofami. Codziennie natomiast rozmawiamy z t. zw. człowiekiem ulicy, który wyraża swe myśli z mniejszą precyzją niż filozof, ma jednak swój ugruntowany pogląd, którego lekceważyć nie wolno. Słyszy się nieraz różne zapatrywania, jeżeli chodzi o przyczynę ateizmu, jedni upatrują niesłusznie jego źródło w niemoralności (iluż jest wierzących łajdaków), drudzy, równie błędnie, w rzekomym starzeniu się Kościoła i jego związkach z burżuazją (cierpi przecież na tym sam Kościół), jeszcze inni zrzucają odpowiedzialność na masonerię czy komunistów.

Faktem jest, że ateizm szerzy się nie dlatego, że pewni przywódcy wypisali go jako hasło na swych sztandarach. Przywódcy ci po prostu pierwsi zrozumieli zachodzący w psychice ludzkiej proces utraty wiary i jego powody. Stwierdzenia powyższe na pewno nie będą przyjęte przez katolików, którzy za wszelką cenę pragną zachować spokój, ani przez tych, którzy chcieliby niepokojące ich zjawiska likwidować rozpętaniem nowej wojny, która w żadnym wypadku nie przyniosłaby im zwycięstwa. Uczciwy katolik musi zdać sobie sprawę z faktu, że współczesny ateizm kieruje oskarżenie pod adresem jego wiary, sposobu jej wcielania w życiu i uwierzytelniania. I na tej jedynie płaszczyźnie katolickiego życia można formułować odpowiedź.

Zastanawiając się nad zarzutami niewierzących, godzącymi w naszą wiarę, dwie stoją przed nami drogi, by utwierdzić się samemu w jej prawdziwości: obalić twierdzenia ateisty jedno po drugim, dowodząc, że Bóg jest rzeczywistością najbardziej ze wszystkich potrzebną, albo zdać sobie raz na zawsze sprawę, że nasza wiara w Boga opiera się nie na Jego przydatności lecz na czymś zupełnie innym. Wprawdzie pierwsza z tych dróg nie zaprowadzi nas daleko, jednak całkowicie odrzucać jej nie należy. Niewierzący bowiem umieszcza na jednej płaszczyźnie dwa rodzaje argumentów, kórych nie należy mieszać ze sobą: korzyści jakich według mniemania ateisty oczekuje katolik z wiary w Boga i rozumowe dowody istnienia Boga. Ataki, które mogą odnosić skutek w zakresie pierwszych, kierowane ku drugim nie przynoszą rezultatu.

Należy przyznać rację niewierzącemu, gdy utrzymuje, że niepodobna udowodnić istnienie Boga przez wykazanie korzyści, które daje wiara. Na pewno społeczeństwo oficjalnie chrześcijańskie nie jest, przez sam ten fakt, sprawiedliwe i bardziej etyczne od społeczności ateistycznej. Tak samo jeśli chodzi o jednostki. Nic zresztą nie upoważnia nas do takiego mniemania, a na pewno nie Ewangelia. Czyż jest w niej wykazana w sposób niezbity społeczna skuteczność chrześcijaństwa? Siew jest wszędzie ten sam i nie jego jest winą, że ziarno pada na grunt jałowy czy skalisty. Trudno mierzyć postępowaniem ludzi wartość ich wiary. Zachowujemy się często po trosze jak Żydzi w czasach przed Chrystusowych, którzy mówili: „Jeśli jesteś wierny Bogu, zbiory twe będą obfite a trzoda płodna, i rozgromisz swych nieprzyjaciół. Lecz jeśli jesteś niewierny, biada ci". Podobnie zresztą uważali za życia Pana Jezusa apostołowie widząc w Nim tego, który przynosząc niepodległość i zjednoczenie królestwa Izraela ukaże innym ludziom, że Bóg Żydów jest najpotężniejszy i najprawdziwszy.

Pamiętamy z Pisma Św. jak surowo piętnował to sanowisko Chrystus wyraźnie mówiąc, że tak jak Mojżesz nie wszedł do ziemi obiecanej, tak i oni nie ujrzą Królestwa Bożego na ziemi aż w dzień ostateczny. Istotnie, gdyby wiara polegała na czerpaniu korzyści, nie byłaby wiarą lecz aktem równie banalnym jak podpisanie polisy asekuracyjnej. I dlatego w cytowanych wypadkach niewierzący często mają rację. Natomias kiedy stwierdzamy, że Bóg stworzył świat, którego bez Niego nie da się wytłumaczyć — czynimy to nie dla korzyści czy zadowolenia naszego umysłu, lecz dlatego, że doprowadza nas do tego naturalny mechanizm naszego myślenia, musimy to stwierdzić. I nie obchodzi nas czy to stwierdzenie jest dla nas korzystne czy nie. „Bo niewidzialne jego rzeczy, nawet wiekuista moc jego i bóstwo, od stworzenia świata przez dzieła jego dla umysłu widzialnymi się stały" (Rzym. I. 20). Lecz pełnia Boga i Jego znaczenie wśród ludzi, co objawione nam zostało przez Niego samego, nie mieści się w rozumie, ani w nauce, ani w filozofii. Do jakiegoż Boga doprowadziłby nas sam rozum, jaki stosunek mielibyśmy do Niego, jaką religię i jaki kult moglibyśmy jemu ofiarować? Nie ma sprzeczności wprawdzie między prawdą osiągniętą drogą rozumową a prawdą ukazywaną przez religię, jednak drogi prowadzące do każdej z nich są biegunowo różne. Historia uczy nas, że religia ginie skoro rozum zajmuje w niej miejsce należne wyłącznie wierze. Rozum nie zna, nie może znać tajemnic żywego Boga, odkrywających się jedynie wobec pokornej wiary: „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, iżeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i przewidującymi a objawiłeś je maluczkim" (Mat. XI. 25).

O ŁASCE WIARY

Tak więc duch chrześcijaństwa zamyka nam pierwszą z proponowanych dróg. Pozostaje druga: zdać sobie sprawę, że nie dla problematycznych doczesnych korzyści, nawet nie z uwagi na dowody, którym przyznajemy zresztą pełną wartość, wiarą naszą oddajemy siebie i swe życie Temu, który zechciał uważać nas za swe dzieci. Teraz będzie chodziło nie tyle o stwierdzenie dlaczego wierzymy, ile w jaki sposób wiara zjawiła się w nas i w jaki sposób się rozwija.

Z wiarą, pisze „Jeunesse de l'Eglipytajcie zakochanego o jego uczucie, jeśli zechce mówić, opowie co najwyżej historię jego rozwoju — nie wspomni o płynących stąd dlań korzyściach, bo po prostu ani przez chwilę nie myśli o nich. Podobnie i wierzący, któremu wiara rozświela życie, potrafi w najlepszym razie opisać jej dzieje.

Wiara rozwija się, transformuje, przechodzi kolejne etapy. Tak samo działo się na przestrzeni historii ludzkości, od religii naturalnej przed Abrahamem poprzez judaizm aż do chrześcijaństwa, tak samo dzieje się w życiu jednostki, przy czym proces rozwoju wiary nigdy, póki człowiek żyje, nie kończy się.

Rzadko zdajemy sobie z tego sprawę, stąd wypadki, że ktoś w późniejszym wieku zachowuje wiarę dziecięctwa i nagle strój okazuje się zbyt kusy i pęka. Nie podobna wyznaczyć granicy między wiarą dziecka a wiarą człowieka dojrzałego, dla każdego przebiega ona inaczej i w innym czasie — a przecież istnieje na pewno. W młodości człowieka, analogicznie jak w początkach dziejów ludzkości, racje utylitarne, korzyści oczekiwane od Boga, mają więcej znaczenia niż On sam. Dla młodego człowieka sam fakt wiary, radość z poświęcania się pięknej sprawie znaczy więcej niż wierność Bogu. W tym okresie nic nie jest zbyt głębokie ani w zupełności bezinteresowne. Tak przyjaźń, miłość jak i wiara. Łatwo wprawdzie szafuje się sobą, nawet umiera z uśmiechem, ale jest to rozrzutność człowieka, który nie odkrył jeszcze wartości swych dóbr. Młodzież uważa, że wszystko musi jej służyć, nawet Bóg, w jej rozwoju i wykuwaniu własnej osobowości. Toteż wiara tego okresu mimo miłości posiadanych ideałów, zdolności do poświęceń, w małym stopniu jest wiarą czystą. Lecz wreszcie nadchodzi moment, w którym samo życie, trudności, troski, praca nie pozwalają myśleć o sobie. I wtedy większość tamtych motywów wiary staje się nieistotna. Entuzjazm mija bezpowrotnie, dawne nadzieje i wierzenia budzą uśmiech. Wydaje się że „ideały mądrości", że „wiara", „mistyka chrześcijańska" zamknęły nas w sztucznym, fałszywym, nierealnym świecie.

Dwa grożą wówczas niebezpieczeństwa: odrzucenie wszystkiego lub zrutynizowane bezmyślnie praktyki. Lecz w tym samym właśnie momencie otwiera się możliwość zrobienia kroku naprzód. Człowiek myślący, dostrzegający zachodzące wokół niego zjawiska, mający świadomość dotyczących go spraw, wie już, że sama wiara w Boga nie zrealizuje jego postulatów społecznych i politycznych, nie miesza już wiary ze złudnymi korzyściami, których oczekiwał przedtem, może się zastanowić jaki jest rzeczywisty przedmiot i znaczenie wiary. Wie już, że przeznaczeniem jej nie jest ani zadowolenie rozumu, ani zaspokojenie serca, ani rozwikłanie sprzeczności społecznych. Wiara ma po prostu zwracać nas ku Bogu i utrzymywać w tej postawie. To my służymy Jemu, a nie odwrotnie.

I skoro nikną w ten sposób młodzieńcze złudzenia co do wiary, człowiek spostrzega, że mimo zdruzgotania poprzednich motywów jest nadal wierzący. Dowody rozumowe, zachowują swoją wartość, lecz odsunęły się na plan dalszy, wydając się niepotrzebne, wobec silniej utrwalonej wiary, drogi uczuciowe prowadzące do Boga ominęliśmy, uznając za zbyt łatwe. Skąd zatem bierze się niezłomna pewność nie pochodzącą ani z rozumu ani uczucia? Jak wytłumaczyć tę wiarę, którą uznaliśmy za wynik naszych rozmyślań o życiu i Bogu, a która często teraz wymyka się nam przewyższając nas samych, jest w nas, a przecież przychodzi wyraźnie z zewnątrz? I teraz dopiero widzimy, że wiara ta, której mogliśmy położyć kres, ale nie mogliśmy dać początku, została nam przekazana bez zasługi i zapłaty z naszej strony: jest darem Boga. Bóg wyszedł naprzeciw nam. Bez tej pewności czym byłyby wielkie tajemnice naszej religii: Bóg Wcielony, Bóg Zbawca, co rozróżniałoby Ewangelię od wzniosłego kodeksu ludzkiego postępowania. Lecz w tej pewności wszystko splata się ze sobą i oświetla. Bóg umiłował nas pierwszy. Jego dzieło poprzez Chrystusa i Kościół jest wyrazem tej miłości, zostaliśmy umiłowani bez zasługi z naszej strony i tak samo bezinteresownie winniśmy kochać naszych bliźnich.

Wiara — jak sformułował to Sobór Trydencki — jest istotnie początkiem, korzeniem, fundamentem chrześcijaństwa. Wiara to znaczy uznanie faktu, który tłumaczy wszystko, wymaga wszystkiego, uznanie prawdy wyrażonej przez św. Jana: Bóg jest Miłością. Aby zdobyć w pełni tę wiarę trzeba wielkiego wyrzeczenia, o tym wie każdy, trzeba odrzucić pychę egoizmu, własne ja, ale także, jak zaleca to św. Jan od Krzyża, odsunąć od siebie to w naszej wierze, co odbija pewność złożoną w nas przez Boga, że jesteśmy miłowani.

I ŻYJĘ JUŻ NIE JA...

Istnieją ludzie, którzy zamykają się w murach klasztoru, by dopełnić tych wyrzeczeń. Inni pragną czynić to, żyjąc w świecie. I chociaż obie drogi są równie właściwe, trudno nie zauwa-

(Dokończenie na str. 6)

Opracowała Halina LASKOWSKA

BOGU POTRZEBNI SĄ LUDZIE

Drukowana tu opowieść podaje treść głośnego katolickiego filmu francuskiego: „Dieu a besoin des hommes" reżyserii Jean Dellancy, według scenariusza opartego na powieści Henri Queffelec „Le recteur de l' île Sein".

Drukowana przez nas nowela oparta jest na liście dialogowej i fragmentach scenariusza, opublikowanych na łamach „Temoignage Chretien". Film ten wzbudził w kołach kulturalnych Francji bardzo ożywioną dyskusję wybitnie postępową. Z punktu widzenia religijnego wzbudził on szereg oporów, gdyż zarzucano „szarganie świętości", atak na pozycje katolickich tradycji ludu bretońskiego. Sprawa oparła się o Hierarchię, która ustami specjalnie powołanej Komisji orzekła, że treść filmu nie może budzić merytorycznych zastrzeżeń. Film został nagrodzony na Festiwalu w Wenecji w r. 1949. W następnym numerze, wraz z drugą częścią noweli, zamieścimy komentarz do tego filmu znanego teologa O. Y. Congar.

Przylądek Raz, zatoka Trepasse — to krańce Bretanii, Francji, Europy; — koniec świata, jak zwykło się mówić. Ale jeszcze dalej znajduje się prawdziwy kraniec świata wyspa Sain. Cały rok wydana na pastwę burzom, atakowana przez wicher, szturmowana przez Ocean. Na tym kawałku zagubionej ziemi od dawna żyją lu-



dzie, których istnienie jest bardziej związane z morzem, niż z ich kawałkiem lądu — społeczeństwo rybaków, twardych, szorstkich, milczących, zszarzałych jak szklista ziemia, na której żyją. Na wyspie kobiety ubierają się zawsze czarno, jakby przygotowane zawsze na śmierć. Na śmierć, którą tak łatwo przynosi burzliwe morze.

Wyspiarze od dawna zostali oddzieleni od reszty świata. Istnieją na swojej wyspie dalecy od życia kontynentu. W całej osadzie są cztery krowy, ani jednego konia czy osła. Uprawiają tylko karłowatą kapustę i kartofle, drobne jak orzechy, ciężko je bowiem hodować na tej ziemi, która wydaje tylko zeschniętą morską trawę. Zbiedżona trawa biednej ziemi.

Sto lat temu wyspa była jeszcze biedniejsza, jeszcze bardziej poza światem, jeszcze bardziej odcięta od niego. Gdy mieszkańcy wybierali się na kontynent po torbę soli, albo kilka bochenków, zdarzało, jeśli była po temu okazja, że zabierali także świnię albo beczułkę wina. Kradzioną świnię, kradzione wino. Dla ludzi z lądu mieszkańcy wyspy byli społeczeństwem złodziei i dzikusów.

I to prawda. Zdarza się, że wyspiarze w czasie wielkiej burzy, zapalają ogniska i tym sposobem wciągają na skały biedne barki. Łup jest równomiernie rozdzielany między mieszkańców. Mimo to ludzie z wyspy w swym mniemaniu są dobrymi chrześcijanami. Spowiadają się ze swych win. Jednak nauki proboszcza nie odnoszą skutku. Po spowiedzi zaczynają dalej — walcząc z biedą — robić to samo.

Pewnego razu zmieniła się sytuacja na wyspie.

Zmylona ogniskami na brzegu, barka z Nantes, rozbiła się na skałach, a dwaj ludzie płynący na niej utonęli. Proboszcz ks. Penneach uznał, że woli opuścić wyspę, niż być pasterzem takich parafian.

W niedzielę, pierwszą po jego wyjeździe, w kościele opuszczonym przez proboszcza, Tomasz Gourvennec wraz z Karabassen, służącą księdza, omiatali pustą nawę. Ale mieszkańcy wyspy, którzy zbudowali sami swój kościół, uważali, że — nawet pusty jest przystanią ich głębokiego i prostego mistycyzmu. W tę niedzielę także przyszli do kościoła, nie wierząc w to, by można było zostać w święto w domu, bez mszy. Nikt właściwie nie wiedział, co dalej robić. Mszy bez księdza dotąd nie widziano. A Franciszek, wyspiarski mędrzec, wyśmiewał bardzo hałaśliwie tych wszystkich, którzy kierowali się do kościoła.

Wśród mieszkańców wyspy szła też Anais le Barre. Wszyscy wiedzieli, że jest szalona. Miała pod pachą paczkę ze zwiniętego sukna, ale zanim zrobiła parę kroków, jej syn Józef zbliżył się do niej i nie mówiąc ani słowa zabrał jej paczkę, tak jak odbiera się rzecz złodziejowi.

Wkrótce cała ludność wyspy zgromadziła się przed kościołem. Powietrze było ostre, niebo czyste, morze spokojne. Wszyscy na coś czekali, nie wiedząc jednak, co czynić. Wiedzieli, że zakrystian To masz porządkuje kościół i nie pozwoliłby im wejść zanim skończy; zresztą — po cóż by mieli wchodzić — nie było przecież księdza. Jednak nie oddalali się. Niepewni czekali niewiadomo na co. Lanuzek wreszcie zdecydował się wejść, rozmówić się z Tomaszem. Zakrystian już na pierwsze pytanie zamruczał opryskliwie:

— Trzeba było pilnować swego księdza. Jeśli chcą mszy, mają łodzie, niech popłyną do dzikusów z kontynentu. I tak za dobrze im się dzieje. Najpierw postępuje się tak, że ksiądz ucieka, a później chce się mieć taką niedzielę, jak prawdziwi chrześcijanie?

W końcu jednak Tomasz otworzył bramę. W mgnieniu oka kościół zapełnił się. Wciąż jednak panował nastrój niepokoju. Co robić bez księdza wobec pustego ołtarza? Tomasz stojący koło ambony także nie bardzo wiedział, ale wydawało mu się, że musi coś zrobić, czuł bowiem, że wszyscy zebrani oczekują czegoś od niego. Nie jest przecież księdzem... Ale może mimo to odmówić z nimi Credo, śpiewać z nimi pieśni.

Po kweście, kiedy znalazł na tacy tylko 32 centimy, wybuchnął:

— Wasz kościół wali się, a wy ofiarowujecie tylko 32 centimy — wołał. — Lampki się palą, myślicie, że to wszystko nic nie kosztuje? Mówicie sobie — nie ma księdza, nie potrzebne pieniądze! Jeśli tak będzie dalej, proboszcz który przyjedzie, znajdzie tylko rumowisko kamieni! Czy jednak tu w ogóle przybędzie jakiś ksiądz? Nie wiem. Czy wiecie, że ks. Penneach przed wyjazdem miał łzy w oczach? Widziałem sam. A przecież on nie wiedział o wszystkich waszych sprawkach. Wy przecież widzieliście tego nagiego biedaka na skałach. Wszyscy przyczyniliście się do tego, by zatopić jego barkę. To już było złe. Ale jeden z was zrobił jeszcze gorszą rzecz, obdarł zabitego nawet z ubrania, zostawiając chrześcijanina nagiego jak mysz. Nie wiem, kto to zrobił, nie wymieniam go...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Franciszka. Zbliżył się i dał Tomaszowi dwie złote monety na kościół.

— Masz rację — powiedział — byłem gorszy od wściekłego psa.

— Przypomnijcie sobie, że jesteście wszyscy w stanie grzechu śmiertelnego — mówił Tomasz. — Prawie wszyscy. Gdybyście tak musieli stanąć dziś wieczór przed Panem Bogiem... Ładna by była historia!

Skończywszy, gwałtownie się przeżegnał i mruknął „Amen", które zostało podchwycone chóralnie przez wszystkich obecnych.

Mieszkańcy wyspy długo rozmawiali o kazaniu Tomasza. Przecież to jeden z nich, prosty rybak jak oni. A przemawiał jak najprawdziwszy ksiądz. Lepiej nawet, znał ich bowiem i rozumiał. Czyż nie powiedział im, by prosili Pana Boga, aby im zsyłał wielu rozbitków? Jest zwykłym człowiekiem, takim jak oni.

Wieczorem wszyscy wędrowali do niego przynosząc ofiary. Zasługiwał na nie. Nie potępiał grzeszników. I to właśnie powinien robić chrześcijanin: rozumieć. A ksiądz? Ksiądz tym bardziej. Przybył nawet Franciszek i Scholastyka, która przyniosła swoje policzki do pocałowania. Czyż nie mieli się pobrać w najbliższej przyszłości?

Pewnego ranka korzystając z tego, że był sam, Tomasz wszedł na ambonę i objął wzrokiem kościół. Jego kościół? W tym momencie drzwi się otworzyły i wsunęła się Karabassen, udał więc dość zmieszany, że ściera kurz i zaczął schodzić, ścigany pełnym nagany wzrokiem staruszki. Karabassen będąca od dawna służącą w kościele, uważała się za coś w rodzaju strażniczki tradycji liturgicznych. Jakież to było nieszczęście dla niej widzieć kościół bez proboszcza!

Na dworze kobiety paliły ogniska, które pozwalały ludziom ogrzać się, a jednocześnie miały zżyźniać ziemię. Tomasz zbliżył się do nich. Powitały go z przyjaznym szacunkiem. Wszystkie, z wyjątkiem Scholastyki. Ta, kiedy go dostrzegła, podniosła tylko twarz, zaciętą twarz Bretonki podejmującej ważną decyzję.

— Chcę, byśmy się pobrali, Tomaszu — powiedziała.

— Jeśli jest ktoś, kogo kocham naprawdę na wyspie, to na pewno tylko ty — zaczął.

— I nic więcej?

— Więcej — ...Ale wiesz przecież, że teraz nie mogę ci powiedzieć „tak".

To było właśnie to, czego się najwięcej obawiała: że on uważa się naprawdę za księdza.

— Czy przeszkadza ci kościół? — zapytała drwiąco. — Mówiłeś z ambony w niedzielę. Ale przecież nie jesteś księdzem. Masz prawo ożenić się.

— Naturalnie, masz rację. Ale robię to dla innych, lepiej będzie, jeśli się nie ożenię.

— Nic mnie ci „inni" nie obchodzą.

— Tak, ale ja zostałem zmuszony, by się tym interesować.

Tomasz czuł się bardzo zawstydzony, ale jednocześnie trochę dumny, tak jak młody człowiek spotykający się pierwszy raz z dziewczyną.

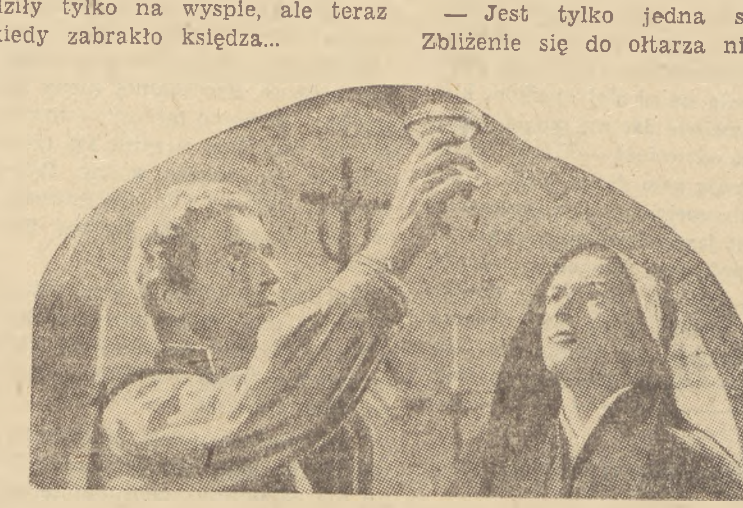
— „Ksiądz" — rzuciła mu jeszcze prosto w twarz, zanim się odwróciła.

Tymczasem ludzie zaczynali go szukać. Jeanne, jego bratowa, miała urodzić dziecko. Poszedł do niej. Kiedy spotkał ją na drodze, leżała prawie na ziemi, nie mogąc już iść. Wciągnął ją na taczkę i zaczął wieźć do domu. Patrząc na to Scholastyka mruczała:

— Byłoby lepiej, gdyby zaczął robić dzieci kobietom, a nie zrobił z siebie księdza.

Słyszała to matka Tomasza i powiedziała: — Dzieci! Dzieci mogą robić wszyscy, o to, co robi Tomasz, może tylko on...

Jeanne krzywiąca się z bólu, podrzucana na nierównej drodze prosiła Tomasza, by przed porodem zawiózł ją na ląd. Oczywiście, kobiety z wyspy zawsze rodziły tylko na wyspie, ale teraz kiedy zabrakło księdza...



— Ja ochrzczę twojego małego — zaproponował Tomasz. Każdy to może zrobić...

Ale Jeanne myślała o sobie, bała się umrzeć w czasie porodu — bez księdza. Nazajutrz wsiadła do łodzi Tomasza. W czasie podróży w małej łodzi, wstrząsanej uderzeniami fal, jęczała z bólu, który zdawał się rozsadzać kości.

Wreszcie krzyknęła do Tomasza:

— Tomaszu, ja potrzebuję księdza! Jęknęła. — Jestem w stanie grzechu.

— Przecież wyspowiada cię ksiądz w Lescoff.

— Nie mogę czekać. — Już nie jęczała, a mruczała monotonnie, z rękami kurczowo zaciśniętymi na brzuchu. — Ty Tomaszu musisz mnie wyspowiadać...

Zerwał się. — Nie, nie możesz mi nawet opowiedzieć swoich grzechów. Nie mam prawa. Przecież, na Boga, nie jestem naprawdę księdzem.

Jeanne jednak upierała się, mówiąc, że na pewno umiera.

— Poczekaj — powiedział wreszcie — jeśli to naprawdę ma ci ulżyć...

— Żyłam z innym mężczyzną... To dziecko, nie jest dzieckiem twego brata....

To wyznanie było dla Tomasza jakby policzkiem otrzymanym niespodziewanie w nastawioną twarz. Zareagował bardzo impulsywnie, jak mężczyzna.

— Jak mogłaś to robić! Z kim?! — krzyknął.

Ale Jeanne prosiła go łagodnie:

— Daj mi rozgrzeszenie...

— Nie! A zresztą nie jestem księdzem!

Wobec odmowy, Jeanne znowu zaczęła rozpaczać. Wzięła go za rękę — nie bronił się. Prowadziła jego dłoń poddającą się, ale bierną, by wykonała na jej czole znak krzyża.

— Udzielam ci rozgrzeszenia... — szepnął Tomasz złamany.

I kiedy zastanawiał się nad tym na kołyszącej się łodzi, nie czuł wyrzutów sumienia. Przeciwnie, patrząc na uspokojoną twarz Jeanne wydawało mu się, że uczynił coś naprawdę dobrego.

Niedziele mijały. Tomasz prowadził modlitwy, a kościół był zawsze pełny. Nawet Franciszek nie opuścił ani jednego nabożeństwa. Pewnej niedzieli Tomasz stojąc na ambonie powiedział po modlitwach:

— Wiecie wszyscy, że nie chciałem zbliżać się do ołtarza.

Jednak teraz, gdy już ostatecznie nie chcą nam przysłać proboszcza, zostanę w kościele, by strzec tego miejsca dla tego, który kiedyś przyjedzie. I w ten sposób zawsze będziecie wiedzieć, gdzie mnie szukać. Wiem dobrze, że nie jestem prawdziwym proboszczem, ale będę się starał w miarę możności go zastępować.

Tomasz zawahał się, nim zaczął mówić dalej. Wreszcie z trudem odezwał się:

— Jest tylko jedna sprawa. Zbliżenie się do ołtarza nie zrobi ze mnie księdza, ale nie pozwala mi zostać rybakiem. Muszę jednak żyć, i ja i moja służąca. Przynoście nam ryby i to, co potrzebne do życia: sól, świece, wodę do picia. Jeśli będzie za dużo, nie bójcie się, zostawię dla tego, który przyjdzie po mnie. Naturalnie, nie mogę być jednocześnie zakrystianem — dzwonić, kopać groby; na to trzeba kogoś innego. Kto więc zechce tym się zająć? To nie jest trudne — poza tym przynosi pewne zarobki...

(Dalszy ciąg na str. 6)

Po co nam Bóg?

Dokończenie ze str. 4

żyć, że dla ludzi współczesnych borykanie się z problemami społeczeństw, wśród których żyją, jest najlepszym środkiem uświadomienia sobie Boga. Dopóki nie jesteśmy w pełni dojrzałymi ludźmi, mającymi za sobą wszystko, czego dojrzałość ta wymaga — nie zrozumiemy nigdy, co to znaczy wierzyć w Boga. *Wierze grozi niebezpieczeństwo idealizmu i sentymentalizmu, dopóki nie osiągamy naszych ludzkich i obywatelskich wartości.* Począwszy jednak od chwili, gdy wkraczamy w życie w pełni zobowiązań człowieka i obywatela i staramy się wykopywać je aż po kres inicjatywy, odwagi i możliwości zaczynamy jasno odkrywać olbrzymią, niezastąpioną i nie mającą sobie równej rolę Boga.

Osiem ewangelicznych błogosławieństw, charakterystyka owych rzesz ciągnących za Jezusem najlepiej ukazuje nam, czego oczekiwać mamy od Boga i wiary. Chrystus nie pragnie uświęcać ich stanu nędzarzy, poniżonych i niewykształconych. Przeciwnie, zawsze okażą się wierni duchowi chrześcijaństwa ci, którzy pracować będą nad polepszeniem tu na ziemi ludzkiego losu. Lecz polepszenie to, postęp społeczny zależny od inicjatywy i odwagi człowieka a celem do którego dąży Jezus nie jest odsłonięcie przed człowiekiem całej potęgi, w którą wyposażył go Stwórca. Jezus objawia moc Bożą w tych, którzy nie wierzą w Niego, w Tego, który przezeń został posłany, moc, która jak piorun wybuchnie w zmartwychwstaniu Chrystusa. Cuda będą tę potęgę pokazywać częściowo, pośrednio. Jak Wiara osiąga u Boga niekiedy wyniki nadzwyczajne, uzdrowienia, czy „przenoszenie góry", jednak jest faktem, że chore ciało powierzać należy medycynie, a troskę o zmianę topografii energii atomowej. W życiu ludzkim znaczenie wiary polega na czymś zupełnie innym. W pełnym świecie ukazuje je Jezus dając jako przykład zgromadzone nad jeziorem tłumy. Mówiąc o nich odsłania podwójną tajemnicę ubóstwa i wiary. Biorąc po ludzku rzesze te są niczym—przywileje i korzyści, które są udziałem innych — im zostały odmówione. Odarci ze wszystkiego, oni jednak „posiadają ziemię", gdyż w swych prostych, szczerych duszach doświadczają wszystkich radości i wszystkiego piękna świata. Pogardzani przez wszystkich czują się braćmi wszystkich i przez nich ponad nienawiść, niesprawiedliwość i gwałty, tworzy się jedność ludzkości.

Kiedy zastanawiamy się nad wiarą, nad jej prawdziwością i skutecznością, kiedy stawiamy pytanie, co to znaczy praktycznie wierzyć, kiedy chce się znać nieodparte dowody wiary, kiedy z przestrachem stwierdza się nieprzydatność wiary tam, gdzie spodziewało się od niej wyników, których oczywiście dać nie mogła, jedna jest tylko odpowiedź — Ubogi, którego wskazuje nam Jezus. Tylko Ubogi, dzięki zupełnemu się wyrzeczeniu, które jest jego udziałem, pozwala ujrzeć z doskonałą jasnością radość, wolność, pokój, życie — krótko mówiąc: pełnię, którą Bóg obdarza wyrzekających się świata dla Niego. Bóg, w którego wierzymy, to Bóg, który zbawia, zbawia od zła, od nas samych, od samotności, od klęsk, zbawia nie jutro lecz dziś. Tak w pewnym sensie niewierzący ma rację, gdy mówi, że Bóg jest niepotrzebny. Bóg nie zastąpi żadnej z rzeczy, które potrzebne są człowiekowi dla urządzenia świata i społeczeństwa. Za każdym razem, gdy człowiek postępuje naprzód, wydaje mu się w nowy sposób, że Bóg jest nieprzydatny do niczego. A jednocześnie za każdym razem żywa wiara daje wierzącemu pewność, że Bóg jest w nim, podtrzymuje go, ożywia. Jeśli wydaje się niepotrzebnym, to po to, aby tym jaśniej ukazać się jako niezbędny. I o tej potrzebie Boga wśród ludzi przekonanych o Jego nieprzydatności do niczego musimy zawsze dawać świadectwo.

W jakich formach przejawiać ma się świadczenie prawdzie Bożej—oto przedmiot końcowych rozważań „Jeunesse de l'Eglise". Wniosek generalny brzmi prosto, wskazuje wyraźnie drogę. Jedynym świadectwem mogącym w czasach współczesnych mieć odźwięk, jest świadectwo życia, w którym dominują nie prawa moralne czy atrakcyjne teorie, lecz naczelnym czynnikiem jest żywa łączność z żywym Bogiem. Człowiek wierzący musi posiadać świadomość działania przez Boga. Dobrą jest rzeczą czynić wszystko dla Boga, postawa taka jednak często sprowadza się do sfałszowania naszego stosunku do Niego, do jakiejś płaszczyzny równości, ofiarowania rzeczy, które są darem bożym, wyłącznie od siebie. Wiara, to świadomość działającej w nas Miłości Bożej, która nas podtrzymuje, prowadzi, to świadomość, że wszystko co czynimy, czynimy przez Boga. Nasze świadectwo mówić ma, że kiedy działamy, działamy przez Boga: „I żyję już nie ja, lecz żyję we mnie Chrystus" (do Gal. II, 20).

Życiem naszym musimy oddawać nieustannie chwałę Bogu, chwałę za to, że żyjemy, działamy, za łaski ale i za nędzę, grzechy i przeciwności. To oddawanie chwały nie jest jednak powodem do odpoczynku, do ogłupiałego optymizmu. Przeciwnie, ono jest nieustannym wezwaniem do działania, do odpowiedzialności, jeśli bowiem chwalimy Boga to dlatego, że tkwi w nas pewność, że Bóg działa w tym świecie i że z Nim i przez Niego działać możemy i my. I wreszcie trzeci istotny element naszego świadectwa to czynna miłość bliźniego.

„Jeunesse de l'Eglise" przedstawia te obowiązki, rzutując je na tło współczesnych stosunków francuskich i w formie konkretnych aktualnych zadań. To byłoby w mniejszym znacznie stopniu interesujące dla polskiego czytelnika. Zresztą omawiane przez „Jeunesse de l'Eglise" zagadnienia mają zupełnie inny aspekt na terenie Polski. Obserwując polskich katolików na przestrzeni lat ostatnich stwierdzić należy, że stale zwiększa się istniejące od dawna niebezpieczeństwo płytkiego katolicyzmu, zrutynizowania praktyk niszczącego bezlitośnie i tak słabą wiarę niektórych jednostek. Toteż szczególną uwagę zwrócić wypadało by na ten fragment francuskich rozważań, który podejmuje problem etapów rozwoju wiary w życiu człowieka. Katolik musi to rozumieć.

Jeszcze kilka słów poświęconych konkluzjom pracy zamieszczonej w ostatnim zeszycie „Jeunesse de l'Eglise". Nie ma chrześcijanina — czytamy tam — który mógłby uczciwie oświadczyć, że nie czuje się odpowiedzialny za szerzący się w naszych czasach ateizm. I nie ma chrześcijanina, który mógłby się uchylić od obmyślania środków leczniczych w tej dziedzinie. Jednocześnie jest faktem niezaprzeczalnym, że współczesny ateizm, przez sam niepokojący fakt swego istnienia, doprowadza nas do naszego wewnętrznego przeobrażenia się, do stania się w pełni wierzącymi chrześcijanami.

Prawie wszyscy w mniejszym czy większym stopniu zatraciliśmy sens naszej wiary — pozostawiliśmy ją na dalszym planie poza miłosierdziem, sprawiedliwością i wszystkimi innymi postawami, które określa się mianem cnót. Pogrzebaliśmy naszą wiarę pod nawałem naszych rozumowań i dowodów. *Chcieliśmy wykazać potrzebę Boga w taki sposób, w jaki reklamuje się skuteczność środków farmaceutycznych.* Teraz natomiast, właśnie dzięki niewierzącym, zmuszeni zostaliśmy do zajęcia się sednem sprawy. Musieliśmy w obliczu groźby załamania się naszej wiary zrozumieć, że Bóg jest przydatny człowiekowi wtedy tylko, kiedy wiarą naszą odrzuciwszy wszystkie troski utylitarne, oddajemy Mu się całkowicie. I tym aktem wiary zdążamy ku odzyskaniu tego wszystkiego, czego na daremno poszukiwał nasz religijny egoizm: wkrótce przekonamy się, że wiara może uczynić nas ludźmi bardziej wolnymi i doskonalszymi.

Podobnie w mniejszym lub większym stopniu, zatraciliśmy poczucie misyjnego powołania Kościoła. Myśleliśmy, że zadaniem Kościoła jest przede wszystkim utrzymywanie moralności jednostki i społeczeństwa. I pod tym pretekstem ograniczyliśmy działalność Kościoła, nie zdając sobie sprawy, że nasze teorie utrzymują poza wiarą czy wręcz odrzucają od niej miliony ludzi. Dopiero dziś dostrzegliśmy to i odnaleźliśmy sens naczelnej misji Kościoła, którą jest podnoszenie ludzi ku Bogu. Naprzód musimy dać ludziom Boga, pomóc im Go odnaleźć. Wtedy dopiero okaże się, może nie tyle to, że dawny humanizm chrześcijański jest doskonały w dotychczasowych formach, ile raczej to, że Kościół zdolny jest podtrzymać, sublimować i rozwijać wszystkie formy humanizmu. Tak długo jak będziemy się upierać przy proponowaniu naszej moralności czy naszej socjologii, natykać się będziemy na inne teorie, inne eksperymenty, inne realizacje — nie przekonamy nikogo, nikogo nie przyciągniemy, nie będziemy misjonarzami. Współczesny ateista to nie prymitywny i nieokrzesany poganin, jak to często jesteśmy skłonni widzieć w swej wyobraźni: to człowiek świadomy swego człowieczeństwa, zdecydowany działać, by człowieczeństwo to w pełni u wszystkich było uszanowane. Uznajmy w nim człowieka, wolność ludzką, którą dał mu Bóg i potem, dopiero potem, możemy naszym świadectwem wykazać mu, że Bóg jest jedynym, najpełniejszym źródłem jego wolności. Współczesny ateizm, choć brzmi to paradoksalnie, jest jednym z najważniejszych czynników naszych czasów, który przywraca chrześcijaństwu i Kościołowi siłę, czystość, dziecięcą prostotę. Wobec mądrości i dobroci Bożej — kończy „Jeunesse de l'Eglise", — która tak wielce przewyższa nasze wyobrażenia i przewidywania, jakże nie powtórzyć za św. Pawłem:

„O głębokości bogactw, mądrości i umiejętności Bożej! Jakże niepojęte są sądy Jego i niedościgłe drogi Jego".

Któż bowiem poznał myśl Pana albo kto był doradcą Jego? (Iz. 40, 13). Albo kto dał Mu pierwszy, aby Mu oddać miał.

Albowiem z Niego, przez Niego i w Nim jest wszystko: Jemu chwała na wieki. Amen." (Rzym. 11, 33, 37).

Jerzy Andrzej Górski

Bogu potrzebni są ludzie

Dalszy ciąg ze strony 4

Podniosło się wiele rąk. Podniósł rękę Le Bail, dlatego, że Tomasz go o to prosił, Juliusz, by być bliżej Pana Boga, inni z ciekawości... Tomasz wybrał Le Balla. Wszyscy zresztą wiedzieli i Le Bail tego nie ukrywał, że te „małe zarobki" były dla niego bardzo ważne.

I jeszcze chcę wam coś powiedzieć — mówił dalej Tomasz. — Ostatniej niedzieli śpiewaliśmy Credo, pożal się Boże jak. A Credo to najpiękniejsza pieśń chrześcijańska. Wiem, że to dla was trudne, bo po łacinie. Credo powinno być potężne. Szczególnie kiedy się śpiewa: „Et homo factus" — to znaczy, że Pan Bóg uczynił się człowiekiem. To bardzo ważne. Człowiekiem, jak wy i ja. To dowodzi, że potrzebował ludzi, by być Bogiem.

Słuchali zachwyceni. Oczywiście, dobremu Panu Bogu potrzebni byli ludzie. Gdyby ich nie było, któż by mógł w Niego wierzyć? — chyba tylko zwierzęta...

I to właśnie należy miłosiernemu Bogu ciągle przypominać: żeby nie zapomniał, żeby pamiętał...

Oczywiście, Pan Bóg powinien rozumieć. To właśnie sprawia, że jest Bogiem. A Tomasz wiedział dobrze, jacy są oni wszyscy. On właśnie powinien reprezentować Pana Boga na wyspie. Wzniósł ręce i powiedział:

— A teraz Credo. Wszyscy razem. I tak, aby nas słyszano z lądu. Niech się przekonają, że nie jesteśmy poganami.

Zaczął śpiewać: „Credo in unum Deum" tak dobrze, jak żaden ksiądz nie robił tego na wyspie, a zebrani podjęli pieśń chóralnie.

Głos chóru wypełnił kościół, całą wyspę, wydawało się, że dosięga nieba. Nigdy tak mocno nie wierzono w Boga, jak właśnie w tę niedzielę.

W kilka dni później, kiedy Tomasz wychodził z kościoła, przyszła matka le Boulch, której córka była bardzo chora.

— Nie jest dobrze z moją Katarzyną — powiedziała. Jest bardzo źle. Dlaczego nie chcesz przynieść jej Pana Boga, kiedy ona na pewno umrze?

— Nie można tak mówić. Widziałem wczoraj Katarzynę. Ona nie ma grzechów. Nie miała jeszcze czasu nagrzeszyć. (Nie jest przecież księdzem. Dlaczego ci wszyscy ludzie oczekują od niego rzeczy, których nie ma prawa robić?)

— Więc ma największe prawo do tego, byś jej dał Pana Boga — z nieubłaganą logiką odpowiedziała matka Le Boulch.

— Jeśli koniecznie chcecie, by otrzymała Pana Boga, poślijcie kogoś na ląd, poszukajcie księdza.

— A cóż ty — żachnęła się kobieta — dlaczego więc zostaś w kościele, jeśli mamy posyłać po księdza na ląd? Tak samo moglibyśmy postawić w kościele kawałek drzewa.

Było tak samo... Katarzyna umarła następnego dnia. Nie otrzymała Pana Boga. A jednak — cóż mógł poradzić biedny Tomasz? Nie był księdzem. Nie był nim naprawdę. Otworzył swój zeszyt, w którym codziennie, odkąd został „proboszczem" pisał swoje A, B, A, B, kaligrafowane z wielkim trudem.

Niemniej wiadomość, że Katarzyna umarła jak poganka, odebrała mu spokój, poszedł więc do kościoła.

— Nie poradziłeś nic na to, że biedna Katarzyna umarła bez sakramentów — powiedziała mu Karabassen.

Nie odpowiedział. Wtedy odezwała się życzliwiej:

— Powinieneś nosić okulary.

— Dlaczego?

— Ksiądz Penneach je zawsze wkładał. Lepiej się pisze.

W kilka minut później przyszedł Józef Le Berre ze swoją matką, szaloną Anais. Przyniósł langustę, swój dar dla proboszcza. Ale nie dlatego zjawił się u Tomasza.

— Jesteś mi potrzebny — powiedział — Otóż ona nie jest szalona.

— Tym lepiej — odpowiedział Tomasz.

— Wcale nie lepiej, przeciwnie—gorzej: ona jest opętana przez diabła.

Karabassen przeżegnała się przestraszona, ale Anais z uśmiechem przytaknęła: — Tak, tak to diabeł. Nie byłoby inaczej możliwe. Jestem zbyt zła.

— Cóż wy opowiadacie — przerwał Tomasz. Nie trzeba wszędzie dopatrywać się diabła.

— Ja go nie wypatruję — mówił Józef. — Widzę go w swoim domu. Cóż powiedziałbyś o starej kobiecie, która kradnie wszystko i odda je sąsiadom? I jeszcze oni przyjmują. Rozumiesz to przecież. Rujnuje własnego syna. I czy powiesz, że to nie diabeł?

— Tak, to diabeł — zgodził się Tomasz. — Więc co?

— Trzeba ją egzorcyzmować!

— Czyś zwariował — Tomasz zerwał się.

Ale Józef tłumaczył dalej: Czy wydaje ci się, że to jest trudne? Pokropisz ją święconą wodą, odmówisz modlitwę, kładąc jej ręce na czole. Jest taka modlitwa, że diabeł szybko wyniesie się.

— A gdzież on się wyniesie? — zapytała Karabassen.

— A to dokąd on pójdzie, zupełnie mnie już nie obchodzi — odpowiedział Józef.

Tomasz namyślał się. — Nawet jeśli to diabeł, cóż ja mogę uczynić? Diabły słuchają tylko księży...

— I w dodatku nie wszystkich— dodała Karabassen. — Znam jednego, który mógłby to zrobić. Jest w Ouimper.

(Dokończenie w następnym numerze)

Sprostowanie

Do artykułu z numeru 40 (306) „Jak to było naprawdę" (Ekonomia na codzień), zakradł się drobny błąd, który niniejszym prostujemy:

Druga z podanych tabel powinna zawierać następujące dane:

W rękach chłopów (do 50 ha) — 57,6% całości bogactw rolnych

Wielka własność — 42,4% (a nie 43,4%)

Z czego wielka indywidualna własność — 25,8% (a nie 26,8%)

Dobra „martwej ręki" — 16,6%

Dane powyższe są zgodne z rocznikiem statystycznym 1939, str. 72, tabela 4

Prosimy w dalszym ciągu wymienionego artykuły prostować dane procentowe zgodnie z powyższym.

Redakcja

Osoby mogące udzielić jakichkolwiek informacji o Tadeuszu Rittnerze — jego życiu i twórczości oraz o możliwości kupna lub wypożyczenia jego utworów, a zwłaszcza dramatów — proszone są o skomunikowanie się z mgr Ireną Wrembel — Toruń — Kochanowskiego 6 m. 4. Informacje te oraz utwory Rittnera są koniecznie potrzebne do pracy naukowej.

Tadeusz WIERZBICKI

O PLANOWANIE W TURYSTYCE

Artykuł dyskusyjny

W ZWIĄZKU z dwoma artykułami ob. Witowickiego w nr 300 i 305 „Dziś i Jutro” „Zbliżmy Wawel do Giewontu” i „Tatry na kartki”, z których pierwszy spotkał się już z odpowiedzią w nr 36 „Tygodnika Powszechnego”, pragnę skreślić kilka uwag, będących wyrazem nieco innego stanowiska w sprawie turystyki tatrzańskiej. Zaznaczam z góry, iż nie polemizuję z autorem w sprawie połączeń komunikacyjnych z Zakopanem oraz wykorzystaniem tej miejscowości dla celów leczniczych, zgadzając się tu w zasadzie z wywodami autora. Zastrzeżenia moje odnoszą się natomiast do tych części obu artykułów, które sugerują pewne, dość niebezpieczne wnioski, dla sprawy turystyki wysokogórskiej.

Głównym punktem, wokół którego toczy się od wielu lat ostra dyskusja, to zagadnienie, jak pogodzić postulat uprzystępnienia turystyki tatrzańskiej szerokim rzeszom społeczeństwa z postulatem zachowania w stanie dzikim, możliwie nienaruszonym całego bogactwa przyrody Tatr. Jedni skłaniają się ku umasowieniu turystyki wysokogórskiej na drodze cywilizowania Tatr (kolejki, wyciągi, hotele i szosy), drudzy bronią jedynego naszego krajobrazu wysokogórskiego przed tego rodzaju inwestycjami, twierdząc słusznie, jak się wydaje, że w ten sposób Tatry stracą właściwy im, oryginalny charakter — oraz, że ulegnie dewastacji tatrzańska roślinność i resztki zwierzostanu. Ponieważ obie strony angażują się tutaj uczuciowo, tym trudniej o porozumienie co do ustalenia właściwej linii postępowania.

Sądzę, że dla uniknięcia niepotrzebnych nieporozumień należy przyjąć następujące 4 zasadnicze punkty za podstawę dyskusji, jako nie ulegające wątpliwości:

1. Postulat upowszechnienia turystyki jest w zasadzie postępowy i słuszny i nikt dzisiaj chyba nie żywi wątpliwości co do korzyści wynikających z rozpowszechnienia w społeczeństwie idei turystyki i krajoznawstwa.

2. Zgadzamy się zapewnie wszyscy z potrzebą utworzenia na jedynym posiadanym przez nas terenie wysokogórskim „Parku Narodowego”. Przemawia za tym wiele względów, i to nie tylko natury naukowej i turystycznej — lecz również wychowawczej i artystycznej.

3. Jeżeli Tatry mają być „Parkiem Narodowym” i rezerwatem jednocześnie, to z faktu tego wynikają pewne określone postulaty w zakresie ochrony flory i fauny tatrzańskiej. Innymi słowy, konieczne są pewne zarządzenia regulujące ruch turystyczny na tym terenie (zasadniczym problemem będzie m. in. liczba turystów). Decydujący głos należy tu do przyrodników i ochroniarzy przyrody.

4. Zasadniczym wreszcie punktem dla całej dyskusji jest fakt, że obszar polskich Tatr jest wyjątkowo mały. Posiadamy zaledwie skrawek wysokich gór.

Opierając się na tych czterech punktach jako zasadniczych, zacznijmy od ostatniego. „Tak krawiec kraje, jak materii staje” — powiada przysłowie. Chyba nigdzie nie jest ono bardziej prawdziwe niż w planowaniu turystyki. Każdy, kto pragnie rozwiązywać zagadnienie turystyki tatrzańskiej, musi się oprzeć w swoich planach na niewątpliwym fakcie małego obszaru naszych Tatr. Dlatego wszelkie powoływania się na obce wzory w dziedzinie turystyki górskiej (szczególnie jeśli chodzi o różne wspaniałe inwestycje techniczne) należy przyjmować bardzo ostrożnie. Najczęściej kraje, na które się powołujemy (a więc ZSRR, Szwajcaria, Niemcy itp.) są w tym szczęśliwym położeniu, że rozporządzają olbrzymimi, w stosunku do naszego, terenami górskimi, mogą więc łatwo zaspokoić wszystkie potrzeby swoich społeczeństw. Nie ma tu problemu, z dużego bowiem obszaru wydziela się odpowiednie części dla poszczególnych celów: dla masowego ruchu turystycznego, budując odpowiednie urządzenia (kolejki, szosy itp.), dla turystyki (zwykłej i wspinaczki), wreszcie na Parki Narodowe i ścisłe rezerwaty.

Nie możemy, niestety, postąpić tak w wypadku Tatr. Tu trzeba się zdecydować na zasadniczy wybór i ustalić priorytet potrzeb. Ponieważ idea „Parku Narodowego” w Tatrach jest przyjmowana przez całe społeczeństwo bez zastrzeń, wybór teoretycznie został już dokonany. Pozostaje tylko konsekwentnie zrealizować powziętą decyzję. Lecz tu wyłania się nasz zasadniczy problem, czy tym samym należy opowiedzieć się przeciwko upowszechnieniu turystyki. Otóż i tak, i nie. Zależy, co będziemy rozumieć przez to pojęcie.

Jeżeli przez upowszechnienie turystyki rozumie ktoś wysyłanie w Tatry za pomocą różnego rodzaju udogodnień technicznych i organizacyjnych możliwie wielkiej liczby osób, bez względu na ich przygotowanie i zainteresowania krajoznawcze (jak to ma miejsce w dużej mierze obecnie), to oczywiście wnioski te są głosem protestu przeciwko takiej polityce turystycznej.

Polityka podobna właśnie w wypadku Tatr byłaby całkowicie błędna...

Natomiast nie popadniemy w sprzeczność głosząc z jednej strony nasz narodowy — nie cofam się przed użyciem tego właśnie słowa — obowiązek zachowania Tatr w swojej możliwie pierwotnej szacie, a z drugiej konieczności upowszechnienia turystyki tatrzańskiej, jeśli to upowszechnienie realizować będziemy w sposób rozsądny, przemyślany, jednym słowem planowy. Lecz czytelnik oczywiście nie może zadowolić się podobnym stwierdzeniem i słusznie zapyta: jak więc w praktyce ma wyglądać to planowe upowszechnienie turystyki „rozsądne” i postępowe zarazem?

Otóż buntujemy się przeciwko ekskluzywności ruchu turystycznego w Tatrach, ponieważ uważamy, że opiera się ona nie na pewnych właściwościach natury psychicznej lecz przede wszystkim na sytuacji materialnej turystów. Rzeczywiście od czasu stworzenia różnych udogodnień w Tatrach, np. kolejki na Kasprowy, stały się one terenem wyjazdowym dla tysięcy dobrze sytuowanych snobów. Tatry były modne i siłą rzeczy najbardziej dostępne dla burżuazji. Nie godząc się z tym stanem rzeczy uważamy dzisiaj, że skoro jednak Tatry stanowią własność całego Narodu, to każdy w zasadzie ma prawo cieszyć się ich widokiem i to niezależnie od swojej sytuacji materialnej. Lecz wniosek ten nie oznacza bynajmniej, by przez tworzenie udogodnień technicznych w górach dążyć do maksymalnego zwiększania liczby turystów, zdobywających szczyty przy minimalnym nakładzie wysiłku.

Twierdzę, że Tatry nasze są **za małe** na to, byśmy mogli pozwolić sobie na wysyłanie, przy pomocy różnych organizacji i daleko idących technicznych ułatwień w samych już górach, wielkiej liczby ludzi, którzy nie czują ani ochoty, ani pociągu do górskich wycieczek. Nie wszyscy w Polsce pragną jechać w Tatry. Wielu woli np. morze lub las i jezioro. Wobec więc małego obszaru Tatr, a stąd dużego niebezpieczeństwa ich dewastacji, stoimy na stanowisku, że należy tak pokierować nurtem ruchu turystycznego w Polsce, by **odciążyć** Tatry, starając się jednocześnie usilnie o to, by jechał tam taki element ludzki, który, niezależnie od swojej sytuacji materialnej (na moment ten zwracam specjalnie uwagę), jest oczywiście wrażliwy na piękno przyrody górskiej i dla piękna tego chętnie zniesie trudy wycieczek.

Problem regulacji, a więc planowania nurtu turystycznego, aczkolwiek trudny, nie jest nierozwiązalny. Dla pośredniej regulacji tego nurtu, płynącego siłą przyzwyczajenia (a nieraz i bezwładu myślenia) w jednym lub paru tylko kierunkach, wystarczą pewne, bez bolesne posunięcia odgórne. Przede wszystkim samo życie kwestię tę w pewnym stopniu ureguluje, jeżeli na terenie Tatr nie będziemy zakładać nowych urządzeń technicznych dla wygodnych (a często leniwych) „turystów”. Udogodnienia cywilizacyjne w górach, aczkolwiek w pewnym zakresie potrzebne, posiadają i poważne minusy, z jednej strony zwiększają liczbę „pseudo-turystów“, z drugiej strony pozbawiają bezpośredniego kontaktu z przyrodą, utrudniając tym samym głębokie przeżycia psychiczne związane zazwyczaj z wędrówkami.

Na regulację nurtu turystycznego możemy następnie wpływać świadomie poprzez taką organizację jak Polskie Towarzystwo-Turystyczno-Krajoznawcze i w oparciu o nie poprzez Fundusz Wczasów Pracowniczych i związki zawodowe. Organizacje te, rezygnując w wypadku tylko Tatr z liczbowych efektów, mogą z pomocą swych terenowych komórek koła P.T.T.K. przy szkołach, fabrykach itp. wytypować tych, którzy wykazują zainteresowanie i ochotę do krajoznawczych wędrówek. Wydaje się tu słuszne przyjęcie następującej zasady: warunkiem udziału w wycieczce tatrzańskiej, będącej w naszej krajobrazowej rzeczywistości wycieczką najtrudniejszą a jednocześnie dostarczającą najsilniejszych turystycznych przeżyć jest uczestnictwo w paru łatwiejszych wycieczkach; początkowo w terenie płaskim, a potem górskim (lecz nie tatrzańskim). Podobna gradacja dałaby dwojakiego rodzaju korzyści: byłaby doskonałym instrumentem w naszej selekcji oraz dałaby maksimum pozytywnych efektów wychowawczych (szczególnie ważne na odcinku młodzieżowym). Znaczenie wychowawcze i społeczne turystki w ogóle jest już dzisiaj poza dyskusją. Tutaj należałoby może tylko podkreślić, że w wycieczkach łatwiejszych, nazwijmy je wycieczkami I stopnia, uczestnik ich wyrobi się fizycznie, zasmakuje w wędrówce i trudach z nią związanych, nauczy się (bo i tego uczyć się trzeba) odczuwać piękno prostego krajobrazu i przeżywać je również intelektualnie, co zwiększy niepomiernie wartość i trwałość tych przeżyć, lub... zniechęcony odpadnie. Pomocą mogłoby tu być wprowadzenie odznak turystycznych lub innych podobnych pomocniszych „chwytów“ organizacyjnych. Dla tego rodzaju wycieczek nie zabraknie nam terenów w Polsce. Możemy je więc przeprowadzać na skalę masową, niemal bez żadnych ograniczeń. Turysta — który przejdzie podobną zaprawę, wysyłany w Tatry będzie niewątpliwie bardziej wrażliwym na ich piękno, a zachowaniem swoim nie przyniesie szkody ani przyrodzie tatrzańskiej ani współturystom szukającym tu wytchnienia i jedynych w swoim rodzaju przeżyć.

Wydaje się, iż można przeprowadzić tu pewną analogię do upowszechniania kultury muzycznej Jeżeli chcemy nauczyć jakąś grupę ludzi przeżywać muzykę wysokiej klasy, to nie rozpoczniemy naszego procesu wychowawczego od uczestniczenia w koncertach Bacha czy Wagnera, lecz zaczniemy naukę od najłatwiejszych rodzajów muzyki, przechodząc stopniowo do coraz trudniejszych.

Lecz argumentacja ta może nie przekonać zwolennika masowej, bez żadnego wyboru, turystyki tatrzańskiej. Będzie on zapewne twierdził, że jego metoda nie jest najłatwiejsza ale i najszybciej upowszechniająca tę turystykę, gdyż w masie przypadkowo zebranych i wysłanych w góry ludzi znajdzie się zawsze pewien procent wrażliwych na piękno przyrody ludzi, którzy staną się miłośnikami wycieczek górskich.

Otóż metoda ta nie wytrzymuje krytyki, gdyż stoi w sprzeczności z podstawowym faktem, że Tatry są „Parkiem Narodowym”, co wymaga nałożenia na wielkość i formy ruchu turystycznego pewnych rygorów i że obszar ich jest za mały dla stosowania podobnej polityki turystycznej. Pomijam tu kosztowność stosowania tej metody, lecz podkreślić musimy, że wyniki osiągane tą metodą są słabe. Zaledwie niewielki procent z tych przypadkowo zebranych i wysłanych turystów, dzięki wrodzonej wrażliwości na piękno przyrody, zwiąże się uczuciowo z Tatrami. Złudzeniem jest przekonanie, że proces wychowania turystów dokonuje się automatycznie z chwilą wysadzenia ich na szczycie Kasprowego. Natomiast ujemnym skutkiem stosowania podobnej metody może być nieuniknione pozbawienie kraju jedynego terenu, który może dostarczyć najsilniejszych w naszych warunkach przeżyć i wrażeń dla miłośników przyrody. Nie posiadamy już bardziej dzikiego i groźnego w swym majestacie widokowym zakątka w Polsce. Musimy więc eksploatować go w sposób możliwie rozsądny. Tatry to, niestety, nie góry Pamiru i nie Alpy, gdzie sam obszar czyniłby niegroźnym jakiekolwiek przedsięwzięcia cywilizacyjne. Uczynić z Tatr coś nieco „lepszego“ niż lasek Bielański, to zniszczyć samemu najpiękniejszy i jedyny w swoim rodzaju klejnot w krajobrazie polskim, ba, nawet więcej, to zubożyć kulturę polską. Tatry to również problem kulturalny. Dzikość, niedostępność i piękno krajobrazu tatrzańskiego wielokrotnie przecież było źródłem natchnienia dla wielu koryfeuszy kultury polskiej. Zbyteczne chyba wymieniać długi szereg tych, którzy słowem czy pieśnią uwiecznili piękno Tatr, czyniąc je tym samym własnością całego Narodu i wzbogacając naszą kulturę. Na tej drodze dokonało się najprawdziwsze i najtrwalsze upowszechnienie pewnych wartości w całym społeczeństwie. Z wartości tych korzystały te pokolenia i korzystać będą ci wszyscy, którym nie było i nie będzie dane, z tych czy innych względów, osobiście rozkoszować się pięknem Tatr. Fakt, że od kilkudziesięciu lat Tatry przestały być źródłem podniet artystycznych, wątkiem literackiej czy też muzycznej twórczości, jest groźnym ostrzeżeniem dla naszych poczynań w dziedzinie polityki turystycznej, bo niewątpliwie nie jest ona tu bez winy. Oczywiście, że sprawa zachowania pierwotnego wyglądu Tatr, a nawet przywrócenia go tam, gdzie na skutek bezmyślności lub pogoni za zyskiem, został zdewastowany, jest przedsięwzięciem na wielką skalę. Lecz właśnie dlatego jest możliwe do realizacji w naszej epoce: epoce radykalnej rekonstrukcji i przebudowy naszego kraju. Do dzieła tego włączyć nam trzeba zadanie przekazania następnym pokoleniom w stanie nienaruszonym najpiękniejszego naszego zakątka krajobrazowego — Tatr.

Tadeusz Wierzbicki

II Koncert symfoniczny

II Koncert Symfoniczny w obecnym sezonie Filharmonii Warszawskiej poświęcony był dziełom klasyków XVIII i XIX wieku. Wykonano Arię z Suity D-dur Jana Sebastiana Bacha (1685 — 1750), Concerto Grosso op. 6 nr 5 — Jerzego Fryderyka Haendla (1685 — 1759), koncert skrzypcowy D-dur op. 77 Jana Brahmsa (1833 — 1897) oraz Noc na Łysej Górze — Modesta Musorgskiego (1839 — 1881).

Aria Bacha stanowiąca fragment Suity D-dur jest jednym z najpopularniejszych jego utworów koncertowych. Jest ona swego rodzaju arcydziełem bachowskiej inwencji melodycznej. Pełna powagi i skupienia oraz czystości linii melodycznej dostarcza wiele silnych przeżyć estetycznych.

Concerto Haendla, jeden z jego 12 Concerti, pomyślanych jako instrumentalne interludia w czasie wykonywania jego oratoriów, odznacza się żywymi kontrastami nastrojów oraz wyrazistą rytmiką.

Odczuwało się, że oba powyższe utwory były przygotowane sumiennie, niestety, nie bezbłędnie — zbyt śmiała dynamika (Concerto) zacierała staroklasyczny charakter utworu.

Koncert skrzypcowy Brahmsa jest jedynym koncertem skrzypcowym tego kompozytora, mimo że należy do najwspanialszych jego dzieł, przez długi okres czasu był zupełnie niedoceniony, nazywano go nawet złośliwie „koncertem przeciw skrzypcom“ (z powodu trudności technicznych partii solowej).

Część pierwsza (Allegro non troppo) stanowiąca najważniejszą część koncertu rozpoczyna się szeroko rozbudowanym, pełnym prostoty wstępem, po którym podejmują główny temat skrzypce. Po wprowadzeniu lirycznego tematu drugiego i kilku pobocznych, dalszy rozwój symfonicznie rozbudowanego Allegra odpowiada w zasadzie klasycznym wzorom koncertów.

Część druga (Adagio) nastrojowa i pełna melodyjnego uroku daje soliście szerokie pole do popisu.

Część trzecia (Allegro giocoso ma non troppo vivace) utrzymana w charakterze ronda opiera się na temacie bardzo żywym, w którym zostały częściowo wykorzystane ludowe motywy węgierskie.

Solistą koncertu był Tadeusz Wroński. Trzeba przyznać, że z tego trudnego technicznie i interpretacyjnie zadania wyszedł summa cum laudae. Piękny i głęboki ton, wnikliwa, utrzymana w stylu interpretacja, duże wyczucie i kultura muzyczna oraz wysoki poziom techniczny stawiają go w rzędzie naszych czołowych skrzypków.

Orkiestra pod dyrekcją Witolda Krzemińskiego zadanie swe wykonała poprawnie, ale nie stoi jeszcze na takim poziomie, jakby można było jej tego życzyć.

Jeżeli chodzi o wykonanie, to lepiej wypadł zespół w ostatnim punkcie programu „Nocy na Łysej Górze” — Musorgskiego.

Noc na Łysej Górze — „fantazja koncertowa na orkiestrę”, nawiązująca do ludowych legend, nasuwa skojarzenia z Nocą Walpurgii z Fausta i ustępuje bezwzględnie innym dziełom Musorgskiego, takim jak Borys Godunow lub Obrazki z Wystawy, mimo to znajdujemy w niej charakterystyczny dla Musorgskiego rozmach i śmiałość.

Na zakończenie jedno małe pytanie: dlaczego z części końcowej tego utworu znikła partia dzwonów?

Z. B. K.

Aleksy Wasylewicz KOLCOW

Pieśń Oracza

Dalej, ciągnij, siwa,
do mórg niezoranych,
poostrzymy lemiesz
o wilgotną skibę.

Krasawica zorka
rumieni się w niebie,
z ogromnego lasu
wychodzi słoneczko.

Wesoło przy orce:
dalej, ciągnij, siwa!
Samowtór ja z tobą,
sługa i gospodarz

Narządzam wesoło
i bronę i sochę,
teleżkę sposobię,
nasypuję ziarna.

I spoglądam wesół
na sterty i gumno,
i młócę, i wieję!
Dalej, ciągnij, siwa!

Wcześnie zaorzemy
rolę z moją siwą,
uścielemy ziarnu
tę kolebkę świętą.

Da mu pić, nakarmi
żywna matka — ziemia,
ruń wzejdzie na polu.
Dalej, ciągnij, siwa!

Wzejdzie ruń zielona,
Kłos wybuja z runi
i będzie dojrzewał,
w złoto się odziewał.

Sierp nasz tutaj błyśnie
i zadzwonią kłosy,
miło se odpoczniem
na snopkach, na ciężkich.

Dalej, ciągnij, siwa!
Nakarmię cię smaczno
i do syta wodą
napoję źródlaną.

Cicho mówiąc pacierz,
zaorzę, zasieję:
niech obrodzi, Boże,
chleb, moje bogactwo.

1831

Przełożył Janusz Kawecki

Sprostowanie

W numerze 41 (307) do artykułu pt. „Dzieło pokoju i twórczej pracy“ wkradły się następujące omyłki: nazwisko autora powinno brzmieć: Mateusz T. Milewski zamiast Tadeusz Milewski. W ostatnim akapicie od słów: „Jako mieszkańcy cywilizowanej ziemi...“ do końca artykułu został podany cytat z książki: J. Jeans „Wszechświat“.

Jan POGORSKI

AZJATYCKIE PRZEMIANY (I)

„OBECNIE, w Azji, powstaje zupełnie nowy świat i to z taką siłą, że nie ma ziemskiej potęgi, która by go mogła powstrzymać". — To stwierdzenie amerykańskiego autora. Roberta Payne, w oficjalnej publikacji Narodów Zjednoczonych, jest jeszcze jednym dowodem, że Amerykanie, nawet najbardziej za-



Mao Tse — tung — wódz Chin Ludowych

cofani, zaczynają zdawać sobie sprawę z całkowitego fiaska polityki USA, zmierzającej do opanowania Azji.

Parę lat temu, prezydent Truman obłudnie stwierdzał, że: „obowiązkiem wynikającym z naszej strategii pokojowej, jest pomoc gospodarcza i inna dla narodów Azji". Dziś wiemy, co myśleć o tej „strategii pokojowej", a jeśli chodzi o pomoc „gospodarczą i inną" na kontynencie azjatyckim, to zarówno w Korei, Indochinach czy Burmie, niosą ją głównie generałowie i żołnierze Stanów Zjednoczonych.

A tymczasem w ciągu ostatnich kilku lat dokonała się i dokonuje się w Azji gigantyczna rewolucja, która swym olbrzymim zasięgiem objęła wszystkie dziedziny życia i wszystkie niemal zakątki najstarszego z kontynentów.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Kiedy czyta się artykuły poświęcone zagadnieniom azjatyckim w prasie amerykańskiej, za-



Rząd Chin Ludowych otoczył młodzież troskliwą opieką. Dzieci w przedszkolu otrzymują smaczne i zdrowe posiłki.

równo reakcyjnej jak i liberalnej, przebija z nich przede wszystkim żałosne zdumienie: „Jakże mogliśmy popełnić tyle oczywistych błędów politycznych? Jak można było nie dostrzec olbrzymiego dynamizmu sił ruchu rewolucyjno-społecznego? Czy rzeczywiście dni naszego panowania w Azji skończyły się? Dlaczego?" — pytają tłuste nagłówki gazet, pism i tygodników zza oceanu.

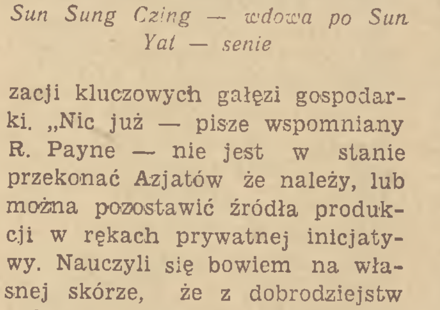
Odpowiedzi na te pytania są niewątpliwie różne, zależne od politycznego nastawienia danego czasopisma. Nie brak więc w prasie amerykańskiej trzeźwych osądów i mniej lub więcej sumiennych krytyk polityki kół rządzących. Nie brak także humorystycznych wprost wypowiedzi jak np. liczenie na „chińskość Chin (w sensie odrębności psychicznej i kulturalnej), która nakłoni Mao-Tse-tunga do zmiany linii politycznej", albo zupełnie śmiesznych — gdyby nie fakt, że część opinii amerykańskiej bierze poważnie tego rodzaju brednie — jak ów apel W. C. Bullitta do narodu amerykańskiego, żądający wzmożenia zbrojeń wobec groźby „azjatyckich imperialistów". „Zobaczycie jeszcze — krzyczał histerycznie ów były ambasador w Moskwie — że Związek Radziecki zorganizuje i uzbroi 450 milionów Chińczyków, 350 milionów Hindusów, porwie wszystkich Arabów, Persów, Kurdów, Afgańczyków i rzuci całą tę olbrzymią potęgę na Stany Zjednoczone!"

Bezsens podobnych twierdzeń spotkał się z ostrą odprawą nawet w samej Ameryce. Wspomniany bowiem już R. Payne pisze o wywodach Bullitta, że są one „nie tylko dowodem głupoty i analfabetyzmu politycznego w ogóle — ale i głębokiego nieuctwa i szokującej wprost nieznajomości problemów azjatyckich... Jak widać bowiem, ewolucja narodów Azji idzie zdecydowanie w kierunku socjalizmu, a imperialistyczne pozostałości feudalnych rządów jak Kuomintangu, Lamów tybetańskich czy maharadżów hinduskich wskazują właśnie na zupełnie bezpowrotne przeżycie się tych form strukturalnych".

WSPÓLNE DĄŻENIA MILIARDA LUDZI

Lepiej, czy gorzej poinformowani dziennikarze amerykańscy, niech się głowią nad rozwiązaniem zagadki, przed którą stanęło społeczeństwo amerykańskie, a przynajmniej ta część społeczeństwa, która zastanawia się nad niepowodzeniami polityki USA w Azji. Wiemy przecież nie od dzisiaj, jakie dążenia ożywiają kulisa z Szanghaju czy vietnamskiego chłopa, indonezyjskiego rybaka, przewoźnika z nad Gangesu i robotnika z rafinerii naftowej Abadanu.

Jednym z najbardziej oczywistych i widocznych następstw tej olbrzymiej rewolucji społeczno-ekonomicznej, która przeorała kontynent azjatycki, jest — choć jeszcze nie wszędzie — dojście do władzy mas ludowych, a co za tym idzie, nakreślenie ambitnych programów rozbudowy gospodarczej, oświaty, szpitalnictwa, komunikacji, etc. Ten zrozumiały pęd do jak najszybszej poprawy bytu setek milionów głodnych i obdartych ludzi zmusił już niektóre rządy do zastosowania szeroko zakrojonej nacjonalizacji i socjali-



Sun Sung Czing — wdowa po Sun Yat — senie

zacji kluczowych gałęzi gospodarki. „Nic już — pisze wspomniany R. Payne — nie jest w stanie przekonać Azjatów że należy, lub można pozostawić źródła produkcji w rękach prywatnej inicjatywy. Nauczyli się bowiem na własnej skórze, że z dobrodziejstw wolnej konkurencji i prywatnej własności środków produkcji korzystają tylko cudzoziemcy".

Nic dziwnego więc, że dni cudzoziemskich przedsiębiorstw w Azji są już policzone. Należy tłumaczyć zrozumiałym poczuciem wieloletniej krzywdy tu i ówdzie wybujały nadmiernie nacjonalizm, który przeradza się często w ksenofobię i ślepe wybuchy nienawiści do „białych diabłów".

Przemiany polityczne i ekonomiczne Chin Ludowych świadczą znamiennie o nowej postawie narodów azjatyckich. Natychmiast po przewrocie propaganda zachodnia — tak amerykańska jak i europejska — dowodziła gorliwie, że Chiny, pozbawione nowoczesnego przemysłu, skazane są na niechybne bankructwo. Rzeczywistość była jednak inna. Przemysł chiński był wcale potężny, lecz znajdował się do przewrotu w rękach wyłącznie obcego kapitału i obcych specjalistów. Dwuletni okres władzy ludowej udowodnił, że naród chiński zdolny jest nie tylko gospodarować, ale i rozwijać własny potencjał przemysłowy. Świadczy o tym nie tylko nowoczesne uzbrojenie armii chińskiej, ale i przede wszystkim — rozmiary dokonywanych w tej chwili wielkich robót publicznych.

POTRÓJNE „NIE" NARODÓW AZJI

W ciągu ubiegłego miesiąca, w trzech różnych miejscach, narody Azji odpowiedziały odmownie na próby zwerbowania, zastraszenia i szantażu, stosowane przez imperialistycznych polityków anglosaskich.

I tak, mimo zamaskowanej presji USA, rząd irański nie uląkł się brytyjskich krążowników i zgrupowanych na granicy pułków spadochronowych i zażądał bezwzględnego wycofania z rafinerii naftowych Abadanu paru tysięcy techników i specjalistów brytyjskich.

W Kaesongu przedstawiciele armii północno-koreańskiej i ochotników chińskich, zdecydowanie odrzucili żądania Amerykanów przesunięcia linii rozejmu na północ od 38 równoleżnika.

Wreszcie rząd Indii odmówił, jak wiadomo, swego udziału w konferencji pokojowej w San Francisco i podpisania traktatu pokojowego z Japonią.

Zdawałoby się, że te trzy cytowane fakty nie posiadają między sobą żadnej łączności, prócz tej, iż dzieją się w jednym czasie na trzech krańcach największego z kontynentów. W rzeczywistości jednak, reakcja Persów, Hindusów, Chińczyków i Koreańczyków wobec ataków anglosaskiego imperializmu ma znaczenie niemal identyczne, a różni się natężeniem, uwarunkowanym stopniem wolności i uświadomienia politycznego.

Kaesong — to bezwzględne odrzucenie nieusprawiedliwionych żądań amerykańskich przez przedstawicieli wyzwolonych i zorganizowanych mas ludowych.

Abadan — to pierwsza próba usamodzielnienia gospodarki narodowej, przedsięwzięta przez rząd, co prawda jeszcze obszarniczy i feudalny, ale ustępujący pod naciskiem całego narodu.

Odmowa Indii, wreszcie, to zadokumentowanie solidarności Hindusów z tymi narodami Azji, które najwięcej ucierpiały od agresji japońskiej, a więc przede



Pandit Dżawarlal Nehru ze swym wnukiem Radżiwa.

wszystkim z ludem i rządem Chin Ludowych.

A przecież główny makler traktatu z Japonią, John Foster Dulles nie zaniedbał niczego, by przekonać rządy państw Azji o konieczności remilitaryzacji Japonii i oddania jej pod całkowitą kontrolę militarną i gospodarczą Stanów Zjednoczonych. Podczas swej 20.000 kilometrowej pielgrzymki spotkał się z odmową i ociąganiem przedstawicieli rządu, z gniewem i oburzeniem mas ludowych. W



General Czu Teh

stolicy Filipin, Manilli, kukła wyobrażająca dostojnego J. F. Dulles'a, została publicznie spalona podczas olbrzymiej manifestacji ulicznej. W New-Delhi indyjski premier Nehru ostrzegł go, iż oddanie byłych baz japońskich Stanom Zjednoczonym oznacza spotęgowanie polityki kolonialnej, polityki szantażu i zastraszania. Wiceminister Spraw Zagranicznych Indii, Keskar, w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi "Tribune des Nations", nie ukrywał, że jedynym sposobem zmniejszenia napięcia politycznego na Wschodzie, jest zaspokojenie słusznych żądań narodu chińskiego, zaspokojenie które by się przejawiło „nie w słowach, ale w czynach".

Czas już, by, tak w Europie Zachodniej jak i w Ameryce, koła rządzące i opinia publiczna, zdały sobie sprawę, że należy raz na zawsze zapomnieć o epoce imperialistycznego kolonializmu, który niósł narodom Azji wyzysk, nędzę i zacofanie. Narody te, coraz bardziej świadome swej potęgi i znaczenia, zdecydowane są współpracować, zarówno z narodami Europy, jak i obu Ameryk tylko na zasadzie absolutnej równości.

Jan Pogorski

Andrzej ODNOWA

„Mieszczanie" w Teatrze Współczesnym

WCIĄŻ rosnące i coraz powszechniej uświadamiane znaczenie Maksyma Gorkiego tkwi w tym, że stoi on na pograniczu dwóch epok, że wśród chaosu pojęć i schyłkowości przełomu XIX i XX w. przynosi nowy, twórczy pogląd na człowieka i jego zadania. Wielki samouk, Gorki przezwycięża literackie i intelektualne mody swego czasu i, wychodząc z dna nędzy proletariackiego bytu, obwieszcza krzepiącą prawdę o godności życia i pracy.

„Mieszczanie", pierwsza sztuka sceniczna Gorkiego, napisana w r. 1900, stanowi jakby skrót jego przemyśleń i zawiera w zarodku obraz całej jego pisarskiej ewolucji.



Scena zbiorowa z IV aktu: Adam Mikołajewski (Tietieriew) Ludwik Tatarski (Pierczychin) Kazimierz Wilamowski (Bezsjemienow).

W KRĘGU NATURALIZMU

Gorki, choć nie poprzestał na naturalizmie, wyszedł z niego jako z atmosfery epoki. Z naturalizmu pojętego zarówno jako światopogląd jak i pewien rodzaj estetyki.

„Mieszczanie" posiadają pewne cechy dramatu naturalistycznego. I to z obydwu kolejnych etapów naturalizmu, tego stojącego pod znakiem socjologii i tego spod znaku estetyzmu. Sztuka Gorkiego jest jakby udramatyzowanym studium socjologicznym, niesłychanie wiernym obrazem społecznego środowiska. Zawarta w niej krytyka i protest społeczny wyraża się w nastrojach niepokojących, ponurych, szarpiących człowiekiem. W duchu symbolizmu, który dołącza się później do naturalizmu i pragnie jeszcze potęgować jego siłę ekspresji, Gorki przeciwstawia sobie nawzajem krańcowe smutki i radości życia. Oto organista gra mieszczuchom — schyłkowcom marsz pogrzebowy, a właśnie wchodzą ze śmiechem i żywiołową radością młodzi studenci. Miłosne upojenie Niła i Poli podpatrują Tatiana i Tietieriew, pierwsza pogrążona w rozpaczy zawodu, drugi — w beznadziejnym pijaństwie. A dla pełnej iluzji życia znajdujemy obok kontrastowych uczuciowych nastrojów drobne rysy prozy życiowej.

Gorki — mimo wszystko — syn epoki nastrojowości i „sztuki dla sztuki", wprowadza na scenę liczne efekty dźwiękowe i muzyczne, czy nawet świetlne — zmierzch na początku pierwszego aktu stwarza od razu atmosferę, o która Gorkiemu chodzi. Rozproszone elementy zlewają się w wrażenie romantycznej nastrojowej jedności. „Ludzie stroją swoje życie jak instrument. Lubię słuchać — mówi Tietieriew—gdy w teatrze orkiestra stroi skrzypce. Ucho łowi mnóstwo oddzielnych dźwięków. Czasami słychać piękną frazę... I ma się wielką ochotę, jak najprędzej usłyszeć, co właściwie ta orkiestra będzie grała". Smutki i radości, krzywdy i cierpienia ogarnia sobą to współczucie i zaduma artysty, to melancholijny i sarkastyczny humor, upostaciowany w osobach Pierczychina i Tietieriewa. Są to jakby rosyjskie odmiany szekspirowskich błaznów i „filozofów". Nawet franciszkańska jakby wola wyzwolenia się od wszystkiego, ubóstwa, bezgranicznej prostoty, współżycia z przyrodą, cechująca Pierczychina, nie odbiega od marzeń o swobodzie szekspirowskiego dworzanina z „Jak wam się podoba".

Cechująca Gorkiego skłonność do wydobywania pełni prawdy życiowej pozwoliła mu nasycić swe dzieło bogactwem konkretu, wprowadzić do dzieła niejako samo życie. Dla autorów sztuk współczesnych, którzy w większości grzeszą jeszcze schematyzmem i deklaratywnością i zawsze jeszcze za mało mają do powiedzenia o życiu i sprawach ludzkich, utwory Gorkiego, a między nimi i „Mieszczanie" — nawet przy pewnych swych cechach naturalizmu — nadal stanowią wspaniałą szkołę konkretności i plastyki opisu.

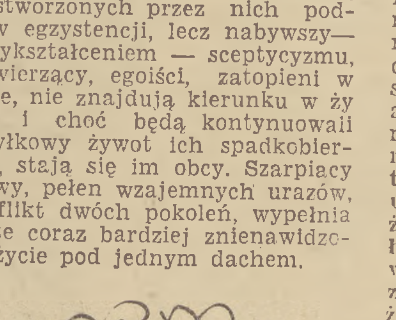
Światopoglądowym podłożem był dla naturalizmu punkt widzenia biologiczny, witalizm, wiara w życie i kult życia jako wartości nadrzędnej. Odbłyski tego spojrzenia na świat dostrzegamy jeszcze w „Mieszczanach". Życie, siła, krew — te kategorie przewijają się przez sztukę. Gorki staje niejako świadomie na tej samej płaszczyźnie myślowej, co jego epoka. Ale kategorie biologiczne, łączące się u innych pisarzy tego okresu z pobieżnym poddaniem się naturze, przybierają u Gorkiego zupełnie nieoczekiwany kierunek.

Gorkiego cześć dla życia i wiara w życie stają się wyznaniem moralisty hierarchizującego wartości i punktem wyjścia dla moralnego oskarżenia, zwróconego przeciwko schyłkowej klasie mieszczaństwa.

DWA STYLE ŻYCIA

Gorki w „Mieszczanach" poddaje analizie trzy warstwy społeczne. Dwie spośród nich reprezentują dwa pokolenia mieszczaństwa.

Starsze, uosobione w ojcu Bezsjemienowie, to pokolenie zdobywczych, mocnych drobnomieszczan, którzy pracą i bezwzględnością doszli do posiadania i zachłannie trzymają to, co zdobyli. Tradycyjna religijność jakby umacnia jeszcze instynkt posiadaczy. Pod koniec życia, niespokojni o przyszłość, gwarancję jej widzą w bogatym ożenku dzieci. Lecz tu zaczyna się tragedia. Młodzi Bezsjemienowie, inteligenci, nie mają już cienia energii starych, korzystają ze stworzonych przez nich podstaw egzystencji, lecz nabywszy— z wykształceniem — sceptycyzmu, niewierzący, egoiści, zatopieni w sobie, nie znajdują kierunku w życiu, i choć będą kontynuowali schyłkowy żywot ich spadkobierców, stają się im obcy. Szarpiący nerwy, pełen wzajemnych urazów, konflikt dwóch pokoleń, wypełnia puste coraz bardziej znienawidzone życie pod jednym dachem.



Tietieriew — A. Mikołajewski

Przez usta Pierczychina, Tietieriewa, robotnika Niła — Gorki odbywa surowy sąd nad Bezsjemienowymi. Czy oni żyją? Błąkają się obok życia, narzekając. Stoją na progu życia a są już na wpół martwi. Mieszczanie zwęzili, skrócili życie, przez nich stało się ono ciasne. Mądry alkoholik Tietieriew, wypędzony z seminarium, więc dziś już tylko śpiewak cerkiewny, analizuje własny upadek, swe zmarnowane życie. Gubi go nie wódka, lecz własna siła, nadmiar niezużytej siły. W tym nieludzkim porządku społecznym nie wie, co z nią robić. Woli upijać się i staczać na dno niż żyć i pracować na Bezsjemienowych i im podobnych. „Lepiej pić wodę niż ludzką krew.. Tym bardziej, że krew dzisiejszych ludzi jest rzadka, wstrętna i bez smaku... Zdrowej i smacznej krwi zostało niewiele, wszystko wyssali..." Kryterium życia prowadzi do potępienia całego społecznego porządku, narzuca postawę buntu. Każe szukać nowej drogi czy tylko zawrócić na zagubioną. Robotnik Nił, jego narzeczona Pola, oboje niezniepprawieni przez posiadanie i wyzysk, odnajdują nowy styl życia, socjalistyczny (choć nie nazwany tak w sztuce), styl, w którym wyraża się zdrowy rozsądek, instynkt obrony życia, zasada rozwoju.

„Jak ja nienawidzę... tego domu... — mówił Nił. — Całego tego życia... zgniłego... sami zespuli sobie życie... uczynili sobie z niego więzienie, katorgę, nieszczęście... Ale nienawidzę ludzi, którzy niszczą życie..." „Cierpienia wynikają z pragnień. Są w człowieku takie pragnienia, które zasługują na szacunek, a są takie, które na szacunek nie zasługują. Trzeba mu pomóc w spełnieniu tych, których spełnienie jest konieczne, by człowiek był zdrów i silny. I tych, które go uszlachetniają i odróżniają od bydlęcia..." Są nimi nie pragnienia posiadania i używania, lecz pragnienie pracy i twórczości. I one to odróżniają Niłów od Bezsjemienowych. „Smutno ci żyć — to znajdź sobie jakieś zajęcie — radzi Nił nudzącej się Tani — Kto pracuje, ten się nie nudzi." Sam Nił, maszynista kolejowy, zostanie monterem w parowozowni. On kocha pracę. Z jakim entuzjazmem mówi o pracy w kuźni, o rozpalonej do czerwoności złej, bezkształtnej sile, którą mocnym uderzeniem młota kształtuje, jak chce. Wyzwalanie się z determinizmu, świadome kształtowanie — oto tajemnica nowego stylu życia.

PRZEZWYCIĘŻENIE NATURALIZMU

Agnostycyzmowi, bezkierunkowości, amoralizmowi okresu dekadentyzmu (rok 1900) przeciwstawia Gorki czynną postawę moralną. „Filozof" tej sztuki głosi: „mierzenie dobra i zła jednakową miarą jest dla was niekorzystne i bezcelowe..." „Zło jest to właściwość nam wrodzona i dlatego niewiele warta. Dobro wymyśliliście sami, opłaciliście je bardzo drogo i dlatego jest jak klejnot, jest rzeczą rzadką. Nic piękniejszego niż dobro nie ma na świecie".

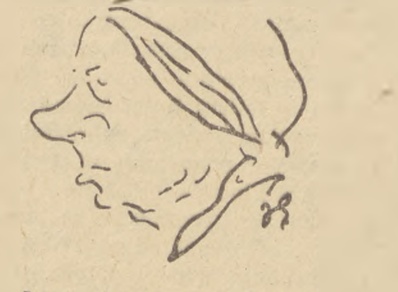
Oczywiście, łatwo zauważyć, że szlachetne te myśli nie są nowe. Lecz na przełomie dwóch wieków, u skrzyżowania się ideowych dróg ludzkości, były ponownym odkryciem zapomnianej i niezrealizowanej prawdy. Sprzymierzone zaś z młodym, świeżym ruchem społecznym, nabierały osobliwych rumieńców życia, stawały się wśród atmosfery schyłkowości i relatywizmu aktem wiary w marzenie, wyrazem rewolucyjnego romantyzmu i optymizmu etycznego. **„Wiem, że życie to sprawa poważna, ale jeszcze nie uporządkowana — mówił Nił — że będę musiał zużyć wszystkie siły i zdolności, by je uporządkować... a jednak... nasza sprawa zwycięży. I wytężę wszystkie siły, żeby zaspokoić to jedne pragnienie: wejść w sam środek życia, ugniatać je jak ciasto. I tak, i owak, jednemu przeszkodzić, innemu pomóc... W tym właśnie jest radość życia..."**

Ale humanizm Gorkiego jest humanizmem rewolucyjnym, surowym i niełatwym. Gorki jest twardym nauczycielem zepsutego człowieka epoki kapitalizmu. Na kartach „Mieszczan" światek Bezsjemienowych otrzymuje naukę okrutną. Młody Nił, ich wychowanek, wybiera jako towarzyszkę życia nie neurasteniczną Tanię, lecz prostą, radosną Polę, dziewczynę z ludu. Dręczącym swe dzieci starym rodzicom wykrada syna prawie na złość lekkomyślna wdówka. Wszyscy ich opuszczają. Również Piotrowi, jak młodemu Zbyszkowi Dulskiemu u Zapolskiej, nie oszczędzono tej gorzkiej prawdy, że wróci i stanie się takim samym Bezsjemienowym, „chciwy... tak samo zarozumiały, pewny siebie, okrutny... Nawet będzie tak samo nieszczęśliwy jak ty teraz... Życie idzie naprzód, stary — kto mu nie dotrzymuje kroku, ten zostaje sam.." I ludzie, i samo życie w sztuce Gorkiego udziela schyłkowcom surowej nauki. „Jacy ludzie są okrutni... brutalni, bezlitośni. Uczą nas kochać bliźniego...". — użala się Tatiana, a Nił, naśladując jej głos — „I włażą nam na karki, i poganiają nas..."

Rewolucja jawi się tu przed nami jako twardy wyraz odradzającego ludzkość maksymalizmu.

Tak w problematyce „Mieszczan", sztuki, która przed pół wiekiem wysunęła całkowicie dzisiejszy typ bohaterów pozytywnych, odnajdujemy niejako genealogię teraźniejszości, antycypację realizmu socjalistycznego w epoce jeszcze kapitalistycznej. Gorki dokonał w swej sztuce niezwykłej przemiany myślowej: wychodząc z prądu artystycznego i intelektualnego swego czasu, z naturalizmu, przekształcił kierunek antynormatywny i rozkładowy w orientację na wskroś twórczą i budującą, przywrócił w nim rozwojowe prawo natury. I to jest bodaj istota rewolucji myślowej dokonanej przez Gorkiego. W wysokim stopniu dzięki niej realizm socjalistyczny, choć zapoznaje niekiedy prawa artyzmu, prawa kontemplacji, zyskał jedną cechę niezaprzeczalną: czysty ton moralistyczny.

Dla chrześcijan Gorki jest przykładem wielkiego umysłu, który wybierając socjalizm, uznał się zmuszonym do odrzucenia chrześcijaństwa. Potrafimy dziś ocenić okoliczności, w jakich to nastąpiło. Jeden z bohaterów sztuki „Na dnie", Satin, lubujący się w niezrozumiałych, rzadkich słowach, mamroce: „A jest jeszcze jedno... Trans-cen-den-talny... — Co to znaczy? — Nie wiem... zapomniałem..." „Na dnie" tamtego porządku społecznego, w okręgu Bezsjemienowych, wracających z cerkwi, aby przygniatać otoczenie ciężarem swego majątku i pychy, można było zapomnieć wiele rzeczy, można było stracić wiarę we wszystko.



Bezsjemienowa — J. Horecka

Lecz Gorki mimo to wiary w życie nie zatracił. Zachował zawsze szacunek i miłość dla ludzkiej istoty, dla jej tęsknoty i nadziei. Jego humanizm, jego pojęcie o człowieku, maksymalistyczne i wzniosłe, opierając się na innym światopoglądzie, nie przestaje mimo to być bliskie postawie chrześcijańskiej. Anima humana naturaliter christiana — nawet materialistyczny w zasadzie humanizm Gorkiego zdaje się potwierdzać w jakiś sposób tę prawdę.

KONCERT GRY AKTORSKIEJ

„Mieszczanie", rozległe malowidło obyczajowo - społeczne, ma potężny ładunek myślowy, psycho- i socjologiczny, ma odrebny typ dramatyzmu, dramatyzmu ideologicznego, postaw moralnych, ale jak na nasze wyczucie teatralności mało posiada scenicznego nerwu, wyrażającego się w akcji. Tym bardziej niezbędny jest wysoki poziom wykonawczy: mocna obsada poszczególnych, niełatwych, choć b. wdzięcznych ról; dekoracje i kostiumy, które przybliżyłyby i epokę i nastrój spektaklu; wreszcie czujna reżyseria, która zgrałaby wszystkie elementy widowiska i wyraźnie wyprowadziła sens ideowy sztuki. Należy z przyjemnością stwierdzić, że wszystko to znalazło się w przedstawieniu Teatru Współczesnego, które dołącza się jako trzecia w tym roku — obok „Mądremu biada" i „Grzechu" — wybitna premiera scen warszawskich.

Reżyseria **Erwina Axera** (asyst. **Kr. Skuszanka**) nadała sztuce właściwe, umiarkowane tempo i zmienny rytm, uwydatniła kontrasty nastrojów, poezję strony dźwiękowej i świetlnej sztuki. Opuściła na ogół rzeczy naprawdę nieistotne, wciągnęła natomiast pewne arcysłuszne poprawki w dobrym zresztą przekładzie P. Hertza i S. Pollaka (Np. „przedstawiają sobą" zamiast „wyobrażają sobą"), podkreślając jeszcze silniej komiczne skłonności ptasznika Pierczychina do rymowania. Wprowadzenie w zakończeniu III aktu postaci Poli, spieszącej na jęk opuszczonej przez wszystkich Tani, wydaje się dopuszczalne i uzasadnione przy bardzo ludzkim, ciepłym ujęciu roli przez Śląską. Reżyseria podkreśliła interesującą, bardzo rosyjską cechę dialogu Gorkiego: postacie często mówią jakby mimo siebie, snując własne rozm[illegible] i zadumy.



Aleksandra Śląska (Pola)

Wykonanie aktorskie przedstawienia było wyrównane i na znakomitym poziomie. **Wilamowski** ujął trudną rolę Bezsjemienowa bardzo z ruska i na ogół przekonująco, przydał mu głos zduszony, nękający, nie zaczynając jednak od razu od forte, przeciwnie, przechodząc w pierwszym akcie jakby lekko nad jego zrzędzeniem. **I. Horecka** (Akulina) dała rolę b. wytrawną pod względem technicznym. **A. Łapicki** (Piotr) stworzył sylwetkę inteligentnego, hamletycznego indywidualisty, **Z. Mrozowska** (Tatiana) — „przedwcześnie zgasłej", przewrażliwionej egoistki o głosie gorzkim, jakby pękniętym, o interesujących odcieniach i zmianach rytmicznych, choć nie na wszystkie wybuchy można się było zgodzić. **B. Niewinowski** dał Niłowi obok tonów optymizmu, radosnej ochoczości — akcenty robociarskiej przekory — tego rodzaju bohatera pozytywnego można było przyjąć. **L. Tatarski** z polotem odtworzył lekką, taneczną postać ptaka Bożego, Pierczychina, mądrego błazna, pełnego wdzięku w swej psotliwości. Wielkim osiągnięciem była w wykonaniu **A. Śląskiej** trudna rola Poli, jasnej, pozytywnej dziewczyny, której twarzy nadała artystka cechy niezwykłej szlachetności, rozświetlenia — była to kreacja bardzo pogłębiona i prawdziwie poetycka. Wcieleniem lekkomyślnej radości życia stała się pełna temperamentu **D. Szaflarska** w pysznej roli młodej wdówki Heleny. **A. Mikołajewski** jako Tietieriew, w czerni, z artystowskim krawatem, był prowincjonalnym wydaniem ówczesnej bohemy rosyjskiej jakby z Czechowa wziętym, z obrzękłą, czerwonawą twarzą, podparty u stołu, był „rzeczowym dowodem przestępstwa" ustroju, jego oskarżycielem i sędzią. Dalsze role zagrali **J. Kostecki** (student Szyszkin), **H. Kossobudzka**, która trochę zbyt zewnętrznie potraktowała role nauczycielki Cwietajewej, **I. Górska**, świetna, charakterystyczna Stiepanida, **St. Jaśkiewicz**, przezabawny w roli lekarza-mumii.

Po przerwie wakacyjnej role wyklarowały się jeszcze bardziej — i w obecnej postaci „Mieszczanie" są prawdziwym koncertem gry aktorskiej.

Dekoracje **Wład. Daszewskiego** ukazały szare, przygniatające wnętrze mieszczańskie. Te meble, trwające zda się od wieków na tym samym miejscu, jak gdyby rzeczywiście „zabierały powietrze, nie pozwalały oddychać", a kredens był jak gdyby naprawdę nie kredensem, lecz symbolem.

Andrzej Odnowa

Dymitr Stefan SOZYKO

WYSTAWA ARCHITEKTURY BUŁGARSKIEJ

STARANIEM Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą i Stowarzyszenia Architektów R. P. zorganizowano pierwszą w Polsce wystawę architektury bułgarskiej. Mieści się ona w salach Naczelnej Organizacji Technicznej w Warszawie przy ul. Czackiego 3/5. Wystawa przedstawia na z górą 100 fotografiach dorobek architektoniczny bratniego nam i zaprzyjaźnionego kraju.

Celem organizatorów było zapoznanie ludności polskiej z najlepszymi przykładami, będącymi słusznie dumą i chlubą narodu bułgarskiego. Wybór dokonany został — musimy to przyznać — bardzo umiejętnie i celowo z myślą o zapoznaniu nie tylko z poszczególnymi przykładami architektury lecz również z warunkami, jakie tworzyły i wpływały bezpośrednio na podejmowane realizacje. Wystawa obejmuje okres od IV w. przed Chr. do czasów ostatnich, po drugiej wojnie światowej, jednak główny nacisk położono na okres stylu romańskiego (XI — XIII wiek), oraz wspaniałe budownictwo XVIII i XIX wieku.

Historyczna architektura bułgarska była zawsze (mamy dziesiątki przykładów potwierdzających) komponowana z myślą o otaczającym ją krajobrazie, z widoczną myślą o kształtowaniu i uzupełnianiu go ręką człowieka. Oglądamy więc szeroko rozrzucone zespoły budynków wsi i miast (Tyrnowo), a także olbrzymie założenia budowlane, jak np. Klasztor Rylski — (założony w X w. odbudowany w latach 1834 — 37) — i inne — obiekty wtopione w naturalne otoczenie i doskonale z nim zgrane.

Tradycje bułgarskiej sztuki architektonicznej sięgają czasów wczesnego średniowiecza. Z V wieku po Chr. jeszcze przed utworzeniem państwa bułgarskiego pochodzi bazylika w Sofii. Budynek ten o surowej, masywnej bryle jest uważany przez niektórych uczonych za prototyp i wzór budownictwa romańskiego w Europie. W chwili obecnej nie może dać nam jednak pełnego obrazu pierwotnej formy z powodu poważnych przeróbek, jakim ulegał w ciągu minionych stuleci. Widać to najwyraźniej we wnętrzu świątyni — gładkim i pustym. Pod tynkiem kryje się niewątpliwie dziś jeszcze wiele cennych detali.

Z OKRESU późniejszego pochodzi wielka bazylika w Pliske (IX — X w.), oraz pałac w tej samej miejscowości, jak również budynek o założeniu centralnym w Presławie i dziesiątki innych budowli, rozsianych w różnych częściach kraju. Małe cerkiewki z XII wieku — o doskonałych bryłach i spokojnym, subtelnym, zdradzającym dużą umiejętność plastyczną detalu przypominają znane nam budowle romańskie wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Pewnego podobieństwa można się również doszukać z podobnymi przykładami architektury Azerbajdżanu i Gruzji.

Liczne pokazane dzieła architektury z okresu drugiego cesarstwa (XII — XIV w.) wyróżniają się doskonałością techniczną i artystyczną. Na uwagę zasługuje np. system opracowania ściany cerkwi św. Ilii w Tetewenic. Dzięki umieszczeniu małej stosunkowo ilości ciemnego kamienia w obfitej, białej zaprawie murarskiej, uzyskano efekt mozaikowych ścian. Wspaniałym zabytkiem jest również stara cerkiew forteczna cesarza Jana Asiena II w pobliżu Asienowgrodu pochodząca z XII wieku.

Oglądając dalsze fotografie znaj dziemy wiele elementów z tych obiektów zapożyczonych i twórczo przepracowanych. Echa te widać szczególnie wyraźnie w bryle zewnętrznej i wnętrzach domów mieszkalnych XVIII i XIX wieku. Architektura tego okresu zachwyca nas swą doskonałością. Spostrzegamy wszechstronną różnorodność opowiadania znanych już form czasem w bardzo prosty sposób, przy użyciu skromnych środków do ich wykonania. Znalazły tu rów nież pełne odzwierciedlenie swoiste tradycje regionalne sztuki ludowej.

ORGANIZATORZY wystawy pokazali nam obszerny wybór detali z okresu XVIII i XIX wieku. Podziwiamy więc rzeźbione w drzewie sufity — spokojne i surowe jeszcze z XVIII w., agresywne natomiast i b. plastyczne w XIX w. Podziwiamy artyzm, z jakim wykonany został sufit domu Daskałowa w mieście Trawna (majster Dimitrij), liczne detale drzwi, okien, lekko gotycyzujących kominków, opracowanie ścian w boazerii, malowidła zdobiące dziedzińce i pokazane sprzęty. Wszystkie te szczegóły składają się na obraz zacisznego i wygodnego domu bułgarskiego.

Szukanie nowego wyrazu plastycznego i operowanie swoistymi formami daje w wypadku — niespotykanego w innych krajach spo sobu — łączenia kamieni z drzewem, niespodziewane zupełnie rozwiązania. Do bardzo interesujących zdobyczy zaliczyć można piękne opracowania szczytów domów płynną falistą linią, co ma miejsce w domu Sarafa, w mieście Samokow, w domu przy ul. Iwajło w mieście Płowdiw (1858 r.) i w wielu innych. Rozwiązanie to jest zupełnie odmienne od zwykłych trójkątnych szczytów, spotykanych w Europie. Doskonałość formy i wysoki poziom techniczny wykonania widzimy również we wnętrzach świątyń, np. w bajecznie koronkowo potraktowanych ikonostasach cerkwi M. Boskiej w mieście Bansko i cerkwi J. Asiena II w pobliżu Asienowgrodu.

W okresie monarchii absolutnej, w drugiej połowie XIX w. monumentalna architektura bułgarska była w upadku. Budowle pochodzące z tego okresu, np. gmach kąpieli mineralnych w Sofii — to przykłady wyuzdanej eklektycznej architektury. Zdumiewa nas fakt, że architekci tych czasów zarzucili cenny dorobek przeszłych stuleci, sprowadzając swe dzieła do niepotrzebnie przeładowanych pomysłami — wypocin. Nic też dziwnego, nie zwracają one specjalnej uwagi.

Dzień 9 września 1944 jest przełomową datą w życiu narodu bułgarskiego, a więc także w dziejach współczesnej architektury bułgarskiej. Dokonywująca się rewolucja wywiera głęboki wpływ również i w tej dziedzinie. Radykalnie zerwano z panoszącym się w pierwszej połowie naszego stulecia, za rządów Ferdynanda i Borysa i otaczającej ich klikі — formalizm konstrukcyjny sprzeczny z narodową tradycją i wymogami współczesności. Architektura w państwie znajdującym się na drodze do socjalizmu, jakim jest dzisiejsza Bułgaria, dotrzymuje kroku zachodzącym przemianom społecznym. To, co pokazano nam na wystawie świadczy dobitnie o usilnym dążeniu architektów bułgarskich do wypracowania nowej architektury narodowej w formie a socjalistycznej treści. Pokazano nam więc takie budowle, jak gmach Biblioteki Narodowej im. Wasyla Kolarowa w Sofii (autorzy projektu: arch. arch. S. Wasiliew i D. Cołow), budynek wzorowej szkoły rolniczo-gospodarczej w Plowdiw, gmach uniwersytetu państwowego w Sofii, monumentalną, surową bryłę mauzoleum Dimitrowa. Na licznych fotografiach oglądamy nowe osiedla robotnicze: wielkie, jasne, doskonale wyposażone pod każdym względem bloki mieszkalne oraz kolonie domków rodzinnych, położonych w pobliżu wielkich miast, również zaopatrzonych we wszelkie urządzenia gospodarcze i higieniczne. Pokazano nam także szereg budynków szkolnych, przedszkoli i żłobków. Te ostatnie zwłaszcza zwracają uwagę swym pomysłem opracowaniem wnętrz. Ciekawe i budzące duże zainteresowanie są fotografie przedstawiające wybudowane niedawno osiedle mieszkaniowe w Gorskoje Kosowo. Obrazy współczesnego budownictwa w Ludowej Bułgarii dopełniają zdjęcia przedstawiające rekonstrukcję zabytkowych budowli w Sofii, Plowdiw, Stalino (dawna Warna) i innych miastach.

Na szczególną uwagę zasługują freski z IV w. przed Chr., zdobiące wnętrza odkrytego niedawno grobowca w pobliżu miejscowości Kazanłyk. Plafon wejściowy jest pokryty malaturą b. interesujących scen. Widzimy tu wyścig kwadryg o niezwykle realistycznym zobrazowaniu ruchu, wiele postaci ujętych w jedną wspólną kompozycję oraz wizerunki mebli i detali architektonicznych. Również fotografie fresków zdobiących cerkiew we wsi Bojana w pobliżu Sofii z 1259 r. zachwycają swym realizmem i doskonałą świeżością wykonania.

Oglądając zaprezentowaną wystawę uderza nas niezwykła plastyka architektury. Elementy, jakimi operował budowniczy epok historycznych: wykusze, przewieszenia olbrzymich płaszczyzn, liczne podcienia, wysuwane daleko poza linię budynku dachy, nie są jednak wyłącznie używaną formą. Są wnikliwie przemyślanym sposobem budowania i dlatego tworzą w każdym nowym wypadku żywą, głęboko cieniującą bryłę.

Sumując stwierdzamy słuszność zorganizowania tej wystawy, będącej dokumentem, świadczącym o przeszłości, w której nie trudno doszukać się pewnych charakterystycznych cech wspólnych dla wielkiej rodziny narodów słowiańskich. Szkoda jedynie, że otrzymała ona b. skromną oprawę graficzną.

Przypuszczamy, że po Warszawie zostanie ona pokazana w innych miastach polskich. Polecamy ją gorąco wszystkim miłośnikom architektury.

Dymitr Stefan Sozyko

O wszystkim po trochu

ZE WSPOMNIEŃ O JOUVET

Znakomity aktor francuski, Louis Jouvet, zmarły w teatrze podobnie jak mistrz jego Moliere, lubił opowiadać następujące zdarzenie:

— Jednego dnia roku 1943, w Caracas, pewien pan zapytał mnie czy lubię Moliera.

— Oczywiście! — odpowiedziałem.

— A on mi na to:



— Wie pan, jak trudno jest naprawdę kochać Boga, dlatego, że tak trudno jest Go dobrze poznać. Z tego samego powodu nikt naprawdę nie lubi Moliera.

Jouvet mawiał również często:

— „Szukając treści życia znalazłem ją w swoim zawodzie".

PRZED WYPRZEDAŻĄ TYTUŁÓW

Poseł dr Franz Lippert (Partia Bawarska — Niemcy Zach.) złoży projekt w sejmiku bawarskim, żeby w Bawarii wprowadzono znowu tytuły radcy handlowego, radcy ekonomic-nopprawnego oraz radcy sanitarnego. (Ustawodawstwo bawarskie zasadniczo za brania udzielania tytułów).



Przewiduje się, że wpłyną poważne sumy dzięki udzielaniu nowych tytułów.

Sposób ratowania skarbca bynajmniej nie nowy.

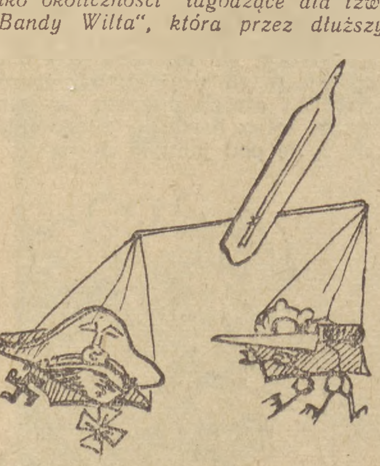
TROSKLIWOŚĆ

Uniewinniona przed siedmiu miesiącami przez francuski sąd hiszpańska emigrantka, p. Delia Sanchez, oskarżona, o „wywrotową działalność", do dnia dzisiejszego przebywa wraz z synem w więzieniu. Dyrektor więzienia, zapytany o powód tego dziwnego postępowania wyjaśnił, że policja pragnie oszczędzić p. Sanchez kosztów utrzymania mieszkania w mieście.

Jakież to wzruszające!

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE

Wielka Izba Karna sądu krajowego w Aurichu (Niemcy Zachodnie) uznała jako okoliczności łagodzące dla tzw. „Bandy Wilta", która przez dłuższy



czas niepokoiła ludność Fryzji kradzieżami i włamaniami, zasługi wojenne oskarżonych, tzn., dopowiedzmy, masowe morderstwa i rabunki na większą niż dotychczas skalę.

ZACZĘŁO SIĘ OD PAPIEROSA

W pewnym kinie meksykańskim przy zapalaniu papierosa przez jednego z widzów zajął się ogniem program jego sąsiadki. Ktoś krzyknął „Pali się". Wybuchła nieopisana panika. Widzowie rzucili się do drzwi z taką gwałtownością, że w sali, zresztą nienaruszonej, zostało 5 trupów stratowanych przez oszalały tłum, 50 zaś osób ciężko rannych trzeba było odwieźć do szpitali. Brak opanowania jednego człowieka zmienił salę kinową w pole bitwy!

I pomyśleć, że często ludzie skarżą się, że na widowni nie wolno palić.

RIEN NE VA PLUS

Na łamach postępowego pisma francuskiego „Action" czytamy następującą notatkę:

Zdawaliśmy sobie sprawę, my, cierpiący na „suchoty kieszonkowe", że czasy są ciężkie. Ale żeby do tego stopnia... Bo pomyślcie sami, jakie to straszne! Globalny bilans 145 domów gry we Francji i 8 w Afryce Północnej zamyka się sumą o 5 miliardów mniejszą od zeszłorocznego. Jakże słusznie boleje się wciąż nad zanikiem najpiękniejszych tradycji



Na szczęście znajdują się jeszcze tacy, jak JKM król Faruk, który może sobie pozwolić na przegranie 32 milionów franków w ciągu jednego wieczoru... no, i że czysty zysk domu gry w Deauville za rok 1950 wyniósł, mimo wszystko, 260 milionów franków, w Nicei — 239 milionów, w Enghien — 235 milionów, w Vichy — 118 milionów itd.

SZCZYT NIEPRAWDOPODOBIEŃSTWA

Anglik i Amerykanin znudzeni wzajemnie swym towarzystwem, postanawiają rozerwać się opowiadając sobie jak najnieprawdopodobniejsze historie.



Amerykanin po namyśle zaczyna:

— Był pewnego razu gentleman amerykański....

— Wygrał pan — przerywa mu Anglik.

TYTUŁ DO SŁAWY

W ubiegłym miesiącu zmarł w Anglii 83 letni Thomas Wood, były pod oficer marynarki wojennej, którego brodata podobizna od lat kilkudziesięciu zdobi pudełka papierosów Players.

Wood od dłuższego już czasu nie nosił brody, gdyż znudziły mu się, jak mówił, ciągłe pytania, gdy ktoś wyjmował paczkę papierosów: „Czy to naprawdę pan?"

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2610/A. 2-B 42042.